Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 44

LEON KALTENBERGH

Technika wiatrów literackich

...i z tego idą dymy po całej literaturze...
(Wyspiański)

Było ich wiele. Pierwszy, bodajże sięga czasów kiplingowego człowieka jaskiniowego z „Takich sobie bajek", lub Persa Peronji - Bomonji.

Gdziekolwiek istniało i istnieje kilku literatów — tam wiatr odgrywa dużą rolę, pomijając jego znaczenie, jako dynamicznego czynnika opisowego w samych dziełach (weźmy chociażby „Zazdrość i medycynę", albo... no, „Dwunastu" Błoka!).

Czasem wiatr jednak staje się wszystkiem: talentem, nowatorstwem, „młodością", no, wogóle prądem. I wtedy biada długowłosym głowom literatów, którzy odwrócą je (głowy) w kierunku wiatrowi przeciwnym. Będzie nietylko niedobrze, ale zupełnie źle.

LAT TEMU PARĘ

Stało się tak, że w odrodzonem po wojnie Państwie odrodziły się, jak zdawało się wielu, żywotne siły twórcze. To nic, że już istniał „Zdrój" poznański, wstrzykując w społeczność artystyczna duże dawki ekspresjonizmu, że na froncie Nowej Sztuki walczyły „Maski", że wreszcie almanach „Zdroju" p. t. „Brzask Epoki" drukował obok niesłusznie dziś zapomnianych różnych „prekursorów" także utwory skamandrytów: Wierzyńskiego, Tuwima, Karskiego... Cóż stąd, że „Ponowa" w rytmie szalonym i warjackim rzucała hasiami i ich spełnieniem w tłumy czytelników. Wreszcie, cóż stąd, że forma asonansowa w nowej, (tj. powojennej) poezji polskiej zaczęła się właściwie od futurystów ,a przejęli ją dopiero potem skamandryci?

Mimo to, kpiąc ze wszystkiego co stało gdzieś indziej, obok, czy po stronie przeciwnej Skamander, rzucając się na „Ponowę", ignorując „Zwrotnicę", (jakkolwiek w jednej z „kronik" poświęcił jej parę ciepłej, słównej wody), natrząsając się z pana „Zegadlovitch'a", głosił swój na nową sztukę w Polsce monopol. Jakżeby nie! Drukowali Witkiewicza? Drukowali. Drukowali Rytarda? Owszem. Iwaszkiewicza też? Pewnie. No więc?

Żarty na bok. Nie można odmówić Skamandrowi" wielu zasług. Nikt nie przekreśli jego kulturalnego znaczenia. Nikt nie zakwestjonuje wartości „wielkich" dziś nazwisk: Tuwima, Lechonia Wierzyńskiego. Ale też nikt prawie nie pamięta, że wszczęwszy dokoła siebie huragan, w którym śmiecie w rodzaju różnych Rabskich i Fijałkowskich kłębiło się jak listopadowe listowie, poeci „Skamandra" starali się zakrzyczeć tych wszystkich, którzy z jakiegokolwiek powodu wydawali się im niesympatyczni. Jeśli się tylko przypomni, przerzucając stare roczniki dawnego „Skamandra" wszystkie ataki, skierowane przeciw właśnie młodym, właśnie twórczym, właśnie nowym, ma się dziwne wrażenie: w parę lat potem ci nowi pojawiają się na łamach „Skamandra", który na nich rzucał anathema. Zapewne, nietylko z młodymi walczyli Skamandryci. Nie. Walczyli i o własne życie z wielu uprzedzeńcami, w rodzaju Piwińskiego, z „Przeglądu Warszawskiego". Ale to była usprawiedliwiona koniecznością walka o życie. Czem usprawiedliwić walkę z młodymi? Programem? Właśnie tego nie było u Skamandrytów. W parę lat później mówił Wierzyński w jednym z wywiadów, że „cała nowa poezja polska jest z nas". Czy i Młodożeniec, Peiper, Przyboś, Kurek, Czuchnowski? Czy i Ważyk, Jasieński i Brzękowski? I Zegadłowicz? Zahradnik i Libert? Napewno nie. Ci poeci wywalczyli sami swoje prawo do bycia tem czem są, jakkolwiek nie walczyli tak jak Skamandryci: *o wyłączność*.

Bo, jakkolwiek przyznawał się Tuwim razem z Lechoniem do rosyjszczyzny, uważali się za nowych i byli nimi — dzięki talentom. Nie było tu uderzeniowych, upartych bojów o nowe wartości poetyckie, wartości programowe. Były talenty. Ale czy to usprawiedliwia ten wiatr, jaki wszczęli dokoła siebie, wiatr, starający się zwiać i zniszczyć wszystkich innych?

STAN CZWARTY

Brak programu tłumaczono różnie. Możnaby wytłumaczyć to i tem także, że poprostu niekażdy ma czy miał odwagę wystąpić z programem i ponieść jego konsekwencje. Możliwe, że wyszło to na dobre jednostkom i grupie. Faktem jest, że oprócz tych, którzy tworzyli, porywając talentem i przekonując sugestywnością swojej pracy, w cieniu ich naprawdę wysokich i rozłożystych koron, opychali się rezultatami i puchli od wrzasku inni: stan czwarty literatury, ciury obozowe, taborowe miernoty. Gdy Lechoń, Tuwim i Wierzyński tworzyli, tamci wrzeszczeli. Za siebie i za nich. Zagłuszali współczesną sobie i niemniej chyba jakościowo wartą „Kwadrygę". Praca stojących poza nimi, ugrupowanych w programowe gromady pracowników kultury dawała asumpt chyba tylko do kpin. do nierzeczowych natrząsań i znów zapewnień. że poezja żyje i musi żyć bez programów, że jest poezja i basta! (Vide „kroniki" w roczniku 1925-tym „Skamandra"). Zapewne, przedewszystkiem właśnie ciury obozowe głuszyły młodych. Trzymając się nietyle klamki, co haczyka z drutu, którym spinano zeszyty „Skamandra", starali się, mówiąc co chwila „my" przez duże M., narzucić czytającej publiczności złudzenie, że to oni właśnie są kolumnami najważniejszemi w całej grupie. Ale mniejsza o nich. Przestali przecież być. Rezultaty akcji „Skamandra" były dodatnie — bo nie brak było talentów. Że te talenty nie wniosły nic zasadniczo nowego, poza zastrzykiem witalizmu i temperamentu — zostało pokryte ich *osobistym*, indywidualnym niepowtarzalnym urokiem i wartościami. Gdy się skończył pierwszy „Skamander", oprócz wiatru zrobił też swoje: podniósł kulturę poetycką i pokazał trzy wielkie talenty (Tuwim, Wierzyński, Lechoń), wyrzucając falę talencików. Efekt był dodatni.

ZAWIESZENIE BRONI

Kiedy zabrzmiały rozgłośnie bojowe trąbki walczących właśnie „Żagarów", „Kadry", „Barykad", „Pionów", „Meteoru", „Skamander" milczał. Nie było go. Były trzy wielkie talenty, które się wypowiedziały i jeszcze coś niecoś czasami dopowiadały. Już czytało się to cokolwiek rzewnie, jako to, co było. Bo nowe były właśnie „Żagary", właśnie „Barykady" i „Linja". W stęchliźnie prowincjonalno - kołtuńskich ośrodków — walczyli o życie i wybijali się, rośli i walczyli znów, Przybosie, Bujniccy, Łohodowscy, Zagórscy, Rogowscy. Nie widziano i nie wiedziano, że wogóle są. Walczyli właśnie sami, kiedy obozowe ciury „Skamandra" spoczywali na niewywalczonych przez siebie, dobrze gdzie-niegdzie przywiędłych laurach.

MOBILIZACJA

I wtedy, zdaje się poto, żeby móc potem powiedzieć: „cała nowa poezja polska z nas" — odrodził się z wiatrem, z nowym zupełnie, łaskotliwym wiaterkiem „Skamander". Prawdopodobnie, poród był niebezpieczny: ojcowie bądź - co - bądź leciwi. Ale najciekawsza rzecz — „Skamander" dzisiejszy nie jest „Skamandrem". Bo Tuwim, Lechoń i Wierzyński — zgoda! — nadają mu charakter skamandrycki, w tem, z przed paru lat znaczeniu. Leśmian pachnie jeszcze przedskamandrycką, młodopolską łąką. A że Łohodowski, Bąk, Karpiński i Rogowski są „skamandrytami" — w to nikt nie uwierzy. O Łohodowskim za dobrze wiemy: „Barykady", „Dźwigary", „W przeddzień" i dopiero wtedy „Skamander". Rogowski wybijał się żmudno, chłodno i samotno sam w środowisku kabotynów i snobów. To samo Bąk i Karpiński. Zostali „skamandrytami" nowego „Skamandra" już wtedy, gdy sami stali się Rogowskim, Łohodowskim, Bąkiem i Karpińskim. Że należą do paczki epigonów „tuwimuzujących" lub „lechoniozujących" nastrojowo i ciepło w stylu „wielkiego starca" (o pierwsze roczniki „Skamandra"!) — w to nikt nie uwierzy. Jako talenty młode i właśnie nowe, mające za sobą przeszłość walki o siebie, wyglądają w towarzystwie starszych pań pisujących niezłe wiersze i starszych skamandrytów jakoś nieprzyjemnie. Że są „z nich", w to nikt nie uwierzy. Brali raczej z pierwszej ręki, zwłaszcza Łahodowski. Przejrzyjmy tylko przekłady poezji rosyjskiej, Jesienina lub Błaka, jego pióra.

Tylko może liczna i czupurna banda epigonów, tuwimków, lechoników i t. d. będzie godnie niosła sztandar „Skamandra", pozując Topolskiemu do ilustracyj dla odkopanego obecnie w warstwie jurajskiej i paleograficznie odczytanego i nanowo wydrukowanego (napisany już był, wystawiony także) „Murzyna Warszawskiego", pióra Warszawskiego Nie-murzyna.

I będą mówić: „Cała nowsza poezja polska jest z nas, nowych skamandrytów".

Studja prof. Korbuta

Wybitny bibljograf, prof. Gabrjel Korbut, wydał ostatnio tom pt. *Szkice i drobiazgi* (Warszawa 1935). Jest to zbiór rozprawek historyczno - literackich, drukowanych w rozmaitych czasopismach. Znajdujemy tu najpierw studjum o Aleksandrze Tyszyńskim jako estetyku i krytyku. Dalej: „Przyjaciel rzymski Adama Mickiewicza", „Postrach Krasińskiego", „Franciszek Morawski o Mickiewiczu", „Falsyfikat Pana Tadeusza", „Regjonalizm Mickiewicza", „Historja literatury a krytyka literacka", *„Lilje a Śmierć zdrajcy ojczyzny"*, „Z powodu listu Mickiewicza do Bułharyna", „Tragiczne losy nieprawomyślnego redaktora", „Początki wpływu Boileau'a w Polsce", „Puścizna po Michale Wiszniewskim", „Pogromca obskurantów z przed stu lat", „Białoruszczyzna w języku Mickiewicza", „Pijarzy czy Jezuici". W *Dodatku* polemika z Zygmuntem Wasilewskim w sprawie Norwida.

MAURICE DONNAY

6

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

JUDYTA. — Nie, w październiku niema tam nigdy dużo ludzi. Porą napływu pielgrzymów i turystów jest Wielkanoc. To nam pozwoliło uniknąć towarzystwa obrzyliwych klijentów Cooka. (Nagle surowo). Jednego piątku, wszakże, wieczorem, znalazłam się przed ścianą płaczu, wraz z grupą moich współwyznawców, nędznych, rosyjskich Żydów. Kiwali się pogrążeni w modlitwie, podczas, gdy ja, stojąc przed dużemi blokami z kamienia, które są wszystkiem, co pozostało z świątyni Salomona — płakałam.

ANNA, (zdumiona). — Płakałaś? Dlaczego płakałaś?

JUDYTA. — Ależ z żalu i podziwu nad nędzą i wiarą tych ludzi... Ach! Nie zapomnę nigdy tego widoku, który melancholja jesiennego wieczoru czyniła jeszcze boleśniejszym... i powiedziałam sobie wtedy, że jeśli kiedykolwiek...

(urywa, jakby zapadając w marzenie).

ANNA. — Jeśli kiedykolwiek?

JUDYTA, (z gestem, jakby chciała odegnać marzenie). — Nic.

(Milczenie).

ANNA. — No... ty jesteś naprawdę typem... A teraz, zostajecie już na dobre w Paryżu?

JUDYTA. — Tak, nie ruszamy się... przez jakiś czas przynajmniej...

ANNA. — Miłe mieszkanie macie... z tym widokiem na Luxemburg. Takie jasne, wesołe. Ale dlaczego wybraliście tę dzielnicę? Nie obawiacie się, że to trochę daleko?

JUDYTA. — To ci się w głowie nie mieści... wybrałabyś mieszkanie z widokiem na Park Monceau. Ale ja ubóstwiam lewy brzeg. Zachowałam tkliwe uczucie dla Quartier Latin. Przypomina mi czasy, kiedy chodziłam na wykłady do Collège de France. Ach! Collège de France, Sorbonna, Licea, Szkoły, Biblioteki, wszystkie te pomniki mądrości i nauki, jakże je uwielbiam!

ANNA. — A ja uważam, że są smutne, zimne i brzydkie!... Jakże w nich musi być nudno. Kiedy byłam mała i odwiedzałam braci w liceum, miałam uczucie, że wchodzę do więzienia.

JUDYTA. — Tak, takie wrażenie czynią one powszechnie.

(Podczas ostatnich słów weszła pokojówka).

LEONJA. — Proszę pani, to ten ze storami. Chciałby się zapytać, które mają wisieć w ubieralni pani.

JUDYTA. — Dobrze... idę. (Do Anny). — Przepraszam bardzo, zaraz wrócę.

(Wychodzi, za nią Leonja).

Scena 3.

ANNA, MICHAŁ.

(Milczenie).

MICHAŁ. — Nie chciałem oczywiście mówić przy niej, ale czy masz jakie wiadomości o...

ANNA. — O Zuzannie?

MICHAŁ. — Tak.

ANNA. — Słuchaj, ja tego nie pojmuję; ta kobieta jest zdumiewająca. Muszę przyznać, że była wspaniała. Nie wylała ani jednej łzy! W każdym razie nikt się nie może pochwalić, że ją widział płaczącą... nie wiem co robiła, gdy była sama, ale wobec nas, nic. Dziwne to jednak stworzenia, te kobiety! — Powiedziała poprostu mamusi: „Twój syn kocha panią de Chouzé. Pojechał do niej i pozostanie z nią".

MICHAŁ. — To wszystko?

ANNA. — Wszystko. Potem poszła do siebie na górę i nie pokazała się już wieczorem; ale na drugi dzień powróciła do normalnego trybu życia, przynajmniej pozornie. Tatuś chciał lecieć za tobą, by cię skłonić do powrotu, błagała go, rozkazała, by nic takiego nie czynił. Zamknęła się w swej dumie, jak w fortecy.

MICHAŁ. — Czy można odgadnąć wiele bólu i rozczarowania może się kryć za tą dumą?

ANNA. — Ach, właśnie!... A potem zachorowała; przeszła coś w rodzaju gorączki mózgowej... ale ja ci pisałam o tem wszystkiem.

MICHAŁ. — Tak, tak..., ale teraz zdrowa?

ANNA. — Jest poza niebezpieczeństwem. Lekarz twierdzi nawet, że ta gorączka była dla niej szczęściem, bo jej pozwoliła nie myśleć... to oddaliło od niej wszystkie przejścia, uczyniło je mniej wyrazistemi, dalszemi.

MICHAŁ. — To prawda... a dzieci?

ANNA. — Zdrowe. Oczywiście, zrozumiały wszystko.

MICHAŁ. — Ach!

ANNA. — Tak, nigdy nie mówią o tobie... odczuły, że tego nie należy robić, chociaż im się nic takiego nie przykazywało. Czy ci przykro, że ci opowiadam to wszystko?

MICHAŁ. — Trochę... tak. No, mam nadzieję, że je niezadługo zobaczę. Należą do matki... bezsprzecznie... jednak...

ANNA. — Zobaczysz je, bądź spokojny... trzeba będzie to ułożyć... Zuzanna zażądała rozwodu; oczywiście, że ona będzie się opiekowała i wychowywała dzieci, ale będziesz je widywał u naszych rodziców; tutaj nie możesz się z niemi spotykać, z powodu Henryki... Czy... czy... macie zamiar się pobrać?

(W tej chwili wchodzi Judyta).

MICHAŁ. — Nie... w jakim celu?

ANNA. — Pewnie, że tak, ostatecznie! (Do Judyty). — Wybrałaś już story?

JUDYTA. — Tak. Teraz kolej na ciebie, skarbie: będą wieszali obrazy w twojej kancelarji. Dobrzebyś zrobił idąc tam, inaczej gotowi zrobić wszystko naopak.

MICHAŁ. — Idę. (Do Anny). — Chyba nie odchodzisz zaraz? Zobaczymy się jeszcze.

Scena 4.

JUDYTA, ANNA.

ANNA. — Powiedz mi, jakim cudem, przyjechawszy wczoraj macie już mieszkanie i w dodatku doprowadzone do tego stadjum porządku?

JUDYTA. — Oczywiście, wynajęliśmy je przed wyjazdem.

ANNA. — Ale przecież trzeba było czasu, by je wyszukać.

JUDYTA. — Miałam to mieszkanie już od dłuższego czasu na oku.

ANNA. (siadając na dywanach, zwiniętych w rulon). — Jakto? Czyś wiedziała o tem z góry, że Michał porzuci żonę?

JUDYTA (siadając na małym, drewnianym stołku). — Nie, ale tyle o tem myślałam, tak pragnęłam, że gdy się spełniło, byłam zupełnie przygotowana. Upatrzyłam sobie to mieszkanie, tak, że mogliśmy je z dnia na dzień wynająć, zwołać dostawców i wydać im przed wyjazdem odpowiednie rozporządzenia, aby w chwili naszego powrotu wszystko już było na swojem miejscu, a raczej w przybliżeniu... Rozumiesz?

ANNA. — Tak, tak, rozumiem.

JUDYTA. — W gruncie rzeczy zdumiewa cię to wszystko?

ANNA. — Tak, wydaje mi się zgoła dziwnem, widzieć was tu obydwoje. Zauważyłam wprawdzie pomiędzy wami gruby flirt w czasie tych trzech tygodni, które spędziłaś u nas... było to dość widoczne. Nie spodziewałam się jednak tak gwałtownego zakończenia... nie przypuszczałam, że obierzecie drogę do tego stopnia radykalną.

JUDYTA. — Urobiłaś sobie raczej koncepcję o klasycznem cudzołóstwie.

ANNIE. — Tak... coś w tym rodzaju. Ostatecznie, obeszło się bez tragedji, więc w konsekwencji mieliście rację. Ale jak było z wyjazdem? Opowiedz.

JUDYTA, (przysuwa swój stołek). — O, całkiem poprostu. Gdym się dowiedziała, że Michał opuścił żonę, żyłam tą jedną myślą: połączyć się z nim. Nie chciałam jednak uciekać, opuszczać domu męża, jak występna małżonka, skoro nią nie byłam... w prawnem znaczeniu tego słowa.

ANNA. — Nie byłaś kochanką Michała?

JUDYTA. — Ależ nie.

ANNA. — Naprawdę?

JUDYTA. — Zapewniam cię.

ANNA. — Co za nieostrożność! Pomyśl tylko, gdybyście się nie byli spodobali sobie... gdyby w chwili... w momencie no... rozumiesz... wreszcie, gdybyście doznali zawodu...

JUDYTA. — Nie mogło być zawodu; i nie było go.

ANNA. — No, jeśli tak, to nie mam już nic więcej do powiedzenia.

JUDYTA. — A więc powtarzam, bez względu na to, jak jest obecnie, w czasie, o którym mowa, nie byłam kochanką Michała. Rozumiesz więc, że moja pozycja w stosunku do Gastona była bardzo mocna.

ANNA. — Wierzę... i?

JUDYTA. — Powiedziałam mu, że kocham Michała i mam zamiar połączyć się z nim.

ANNA. — Jakże on to przyjął?

JUDYTA. — Lepiej, niż myślałam... Trzeba mu to przyznać, jest gentelmanem. W pierwszej chwili chciał mię udusić, ale to był refleks.

ANNA. — Refleks?

JUDYTA. — Tak... refleksami nazywamy odruchy, które czynimy bez refleksji.

ANNA. — Oryginalne.

JUDYTA. — Tak już jest. A więc chciał mię udusić, chciał się bić z Michałem.

ANNA. — Ach! Moja droga, pojedynek... co ty mówisz... to okropne!

JUDYTA. — Nie przejmuj się Anno, skoro do pojedynku nie doszło. Przeczekałam burzę, a potem zaczęliśmy rozmawiać. Muszę ci wyjaśnić, że oddawna przygotowywałam Gastona na tę ewentualność; znał moje gorące umiłowanie niezależności, mój głód szczęścia i co najważniejsze, moje zapatrywania na niezaprzeczone prawo kobiety dysponowania swą osobą.

ANNA. — Do licha!

JUDYTA. — No tak. Słowem, tak wiele mówiliśmy o tem, co mogłoby go spotkać, że z chwilą, gdy to przyszło...

ANNA. — Był całkiem gotów... jak ty.

JUDYTA. — Tak jest... trochę mniej jednakże... Wkońcu dałam mu do zrozumienia, że w naszych czasach nie zatrzymuje się kobiety siłą i że dla niego istnieją dwie alternatywy: być zdradzanym mężem, albo zwrócić mi wolność i że tę wolność odbiorę w każdym razie, jeśli nie dla Michała, to dla...

ANNA. — Innego.

JUDYTA. — Nie, dla samej siebie. I kiedy zrozumiał, że jestem stanowczo zdecydowana, pozwolił mi odejść.

ANNA. — I tak powinnoby być zawsze. Jak ci już mówiłam, wasza awantura jest przyczyną, dla której poruszamy te kwestje bardzo często z Jerzym. Otóż odkryłam, że mój małżonek jest całkiem tych samych zapatrywań.

JUDYTA. — Co ty mówisz?

ANNA. — Doszliśmy do przekonania, że po dziesięciu latach małżeństwa, wyczerpaliśmy wszelkie nasze namiętności i ciekawości nawzajem... to rzecz ustalona.

JUDYTA. — Masz tobie.

ANNA. — I doszliśmy do wniosku, że w tych okolicznościach, szukalibyśmy niechybnie urozmaicenia poza małżeństwem.

JUDYTA. — A więc rozchodzicie się?

ANNA. — Przeciwnie, pozostajemy małżeństwem, nie rozłączymy się nigdy... Jerzy mi wytłumaczył, że w miłości, jeśli się pragnie wolności, to poto, by ją złożyć w inne ręce.

JUDYTA. — Po największej części tak bywa.

ANNA. — Trzeba jednak przewidzieć moment, w którym się nanowo zapragnie wolności, ażeby ją móc ofiarować innemu i tak w dalszym ciągu.

JUDYTA. — Nie widzę powodu, dla którego miałoby się to kiedyś skończyć.

ANNA. — Właśnie... w małżeństwie, można sobie wszystko uprościć. Z chwilą, gdy będę miała dosyć jakiegoś stosunku, powiem kochankowi: „Mój mąż wie o wszystkiem" i zagrożę mu widmem rozsierdzonego małżonka. Ze swej strony w podobnych okolicznościach Jerzy powie kochance: „Moja żona wie wszystko" i wywołując obrazy cierpień opuszczonej małżonki... no i dadzą nam spokój.

JUDYTA. — Pomyśleliście o wszystkiem... to wspaniałe!

ANNA. — W ten sposób, pozostając małżeństwem, będziemy mieli najbardziej upragnioną swobodę.

JUDYTA. — O to związek trwały, zbudowany na wspólnie zdobytem zrozumieniu życia: drobne wykroczenia niegodzą w byt związku, ale przeciwnie potwierdzają jego istnienie. Tak, jak konduktor nie niszczy biletu przez stemplowanie.

ANNA. — Życie, to jakby podróż.

JUDYTA. — Dobra jedynie we dwoje.

ANNA. — Pod warunkiem, że towarzyszem nie bedzie zawsze jeden i ten sam. Ale to wszystko zostanie między nami, prawda?

JUDYTA. — Najzupełniej między nami... więc Jerzy....

ANNA. — A tak, Jerzy... wolałabym, żebyś o tem nie mówiła z Michałem.

JUDYTA. — Bądź spokojna.

ANNA. — Tobie to mówię, bo wiem, że z tobą można mówić o rzeczach serjo.... Nie sądzisz mnie źle, mam nadzieję?

JUDYTA. — Mogę cię jaknajlepiej osądzić.

ANNA. — Skądinąd, Jerzy wykorzystał natychmiast naszą umowę, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość... i zdradza mnie! To znaczy, że mnie nie zdradza ponieważ tak jest umówione... przyzwyczajenie używania tego określenia. Koniec końców, sądzę, że jest jaknajlepiej z panią Aubry.

JUDYTA. — Brawo! A ty, czy zbierasz już owoce waszej konwencji?

ANNA. (zdecydowanie). — Nie.

JUDYTA (chłodno). — Aha.

ANNA. — Nie rób inkwizycji.

JUDYTA. — Nie robię inkwizycji. Mówisz „nie", ja mówię „aha".

(milczenie).

ANNA. — Swoją drogą, tobie mogę się przyznać.

JUDYTA. — To znaczy tak.

ANNA. — Z chwilą, kiedy on zaczął byłabym głupia, żenując się.

JUDYTA. — To byłoby nie do darowania.

ANNA. (całując ją gwałtownie). — Ach, moja mała Henryko!

JUDYTA. — Judyto... nazywaj mnie Judytą.

C. d. n.

Szlakiem natchnień Wielkiego Artysty

(W 75 rocznicę urodzin Ignacego Jana Paderewskiego)

„W zaciszu talent rzetelny wyrasta,
na świata fali rodzi się charakter..."
Goethe.

Wiejski dworek w Kuryłówce, w „mlekiem i miodem płynącej" krainie podolskiej, zdobnej uroczemi jarami, czerwienią maków polnych i złotem opadających jesienią liści, stał się w r. 1860 miejscem urodzenia „Dziecka Muzyki". Tam bowiem urodził się przyszły muzyk i kompozytor, Ignacy Jan Paderewski.

Poprzez śmierć matki i więzienie ojca najwcześniejsze Jego dzieciństwo rozwijało się z piętnem wielkiego prze znaczenia i promiennej przyszłości. I choć mimo progów rodzinnego dworu przeszła styczniowa epopeja i choć zawadziła o próg rodzinnego gniazda, nie uczyniła z dziecka konstrukcji słabej i bojaźliwej. Przeciwnie!

Dziecko karmione opowiadaniami o powstaniu, o klęskach, zesłaniach i katorgach Sybiru, o srogich rządach, carskim ucisku i najwyższych ofiarach swoich ojców, zaciskało pięści z wyrazem niemego bólu na ustach i z jedyną już świętą ideą — gdy dorośnie... — Poza tem ileż radosnych wzruszeń zabaw, radości i uniesień dawał mu „kraj lat dziecinnych" Sudylków — tego nie wypowie!

I oto ten niezwykle żywy i wesoły chłopaczek, pełen dziecięcego optymizmu, zaczyna bardzo wcześnie zdradzać zdolności muzyczne i gorące, dziecinne niemal zainteresowanie zaklętemi tonami, wydobywającemi się z klawiszy ukochanego palisandrowego fortepianu, na którym za życia tak cudnie grała jego matka... — Nie słyszał wszakże nigdy tej muzyki mały Ignaś, ale odziedziczył po matce talent muzyczny. On to rozbudził moce natchnień młodego Polaka i dobył z jego duszy — owe zaklęte akordy! — Bywało, zakradnie się w sekrecie, kiedy nikogo nie było w pokoju, usiądzie na krzesełku i z krainy dziecinnej fantazji wydobędzie „pieśni nie śpiewane..."

A kiedy po kilku latach pan Runowski wskaże na ogromne zdolności swego ucznia w muzyce i, gdy to samo potwierdzi pan Sowiński, ojciec, pan Jan Paderewski, odda syna do szkół, by kształcił się i wyrósł na dobrego Polaka. — Tak więc 12-letni chłopiec żegna dom rodzicielski, urocze sudylkowskie strony, sad i lipę i fortepian palisandrowy, do przeszłości sielskiej-anielskiej mają odtąd należeć wszystkie „sprawy dziecinne" i popisowe przed gośćmi uwertury do takich oper, jak „Niema z Portici", „Cyrulik Sewilski" lub „Norma", wreszcie codzień w sad idące nawoływania gospodyni wzywającej na lekcje muzyki czy francuskiego, mają pozostać echem miniomych dni beztroski i swobody.

Od teraz, tj. od roku 1872 schodzą młodemu chłopcu lata na nauce w Instytucie Muzycznym w Warszawie, pod okiem dyrektora Apolinarego Kątskiego i profesorów Śliwińskiego, Strobla, Janothy, Szlözera i Roguskiego. — Po sześciu latach z wirtuozowskim dyplomem w ręku rusza „na podbój miljonów" pieśnią swego natchnienia.

Ale Paderewski dąży do doskonałości. Naturalnie więc pożegnanie z Ojczyzną i znów studja zagranicą u profesora Kiela i Urbana w Berlinie, oraz profesora Leszetyckiego we Wiedniu. A potem rok 1887 — odsłonięcie przyłbicy wirtuozowskiej i kompozytorskiej i marsz triumfalny poprzez wszystkie najznakomitsze estrady świata: Europa, Ameryka, Australja, Afryka! — Cztery kontynenty! Ile stolic! Ile miast!

Jakkolwiek Paderewski pozostaje długo pod urokiem muzyki swych poprzedników — Chopina, Moniuszki — to jednak zachowuje swoją indywidualną, godnie wytkniętą drogę. — Nie pożąda zrazu cudów własnego wirtuozostwa, ale pragnie z klawiszy tak, jak ongi w latach dziecinnych, wydobyć pieśń własnej duszy, melodję swojego młodego serca, marzeniem Jego jest wyczarowanie z wiotkiej i misternie utkanej fantazji jakiejś barwnej tęczy melodyjnej, któraby się stała Jego własną odtąd — melodją... Oto narodziny pierwszej Jego kompozycji, Impromptu F-dur, a w ślad za nią zdąża szlakami najwcześniejszej młodzieńczej twórczości przedziwna melodja zaczarowana w nastrojowem i piękn nem Praeludjum & Capricio (opus 1).

Paderewski ma lat 19! Fantazja Jego szuka nowych dróg dla wyrażenia bogatej skarbnicy serca i duszy. Idą więc w świat Trzy Kompozycje na fortepian: Gawo., Melodja i Valse melancolique (opus 2), oraz Menuet g-mol. — W Gawocie i Menuecie pogodził muzyk klasyczne piękno ze swoją własną, szczerze polską muzyką. Niezwykłe bogactwo ducha i natury polskiej zamknął przedziwny władca tonów w dwóch następnych zbiorach: Tańce Polskie (opus 5), bowiem i Tańce Polskie (opus 9), — to skarby polskiej muzyki tanecznej. — A kiedy jeszcze raz powróci Kompozytor do utworów klasycznych to nada im znowu swoje własne melodyjne piętno współczesne, przedziwnie z pozostawioną im, klasyczną ich stylu pięknością, pogodzone. Takiemi więc będą „Humoresques de Concert pour piano" (opus 14).

Tymczasem wciąż nowe budziły się w duszy młodego Kompozytora jakichś przesłodkich melodyj głosy, jakieś tchnienia boskiej muzyki, z których miały kiedyś wydobyć się owe przedziwne o słonecznym blasku i księżycowej nocy, zaklęte akordy...

Pieśnią smutku i skargą bezbrzeżną załkają muzyczne strofy Elegji (opus 4). Nie zniknie też owa nuta z wdzięcznych form muzycznych pięciu Pieśni Wędrowca (opus 8), lecz będzie przewijać się przez cały śpiew „Samotnika", który sam odtąd idzie przez życie...

Później jednak ucieknie Artysta w świat beztroskiej pogody, by pogrążyć się w romantycznych marzeniach. Tak powstanie Album Majowe (opus 10). W utworach zaś ilustracyjno - nastrojowych, jak „Powódź", oraz dwa Intermezza pt. „W błyskawiczną noc", odtworzy w ponurych i groźnych akordach potęgę żywiołów, wreszcie da nam przepiękny obraz muzyczny w formie Toccaty pt. „Dans le Désert" (opus 15). — Wspaniałe wartości wnosi do literatury muzycznej genjusz 25-letniego Kompozytora w postaci takich utworów jak Warjacje i Fuga a-mol na tematy oryginalne (opus 11), oraz Sonata skrzypcowa (opus 13). — Na wyżyny natchnienia wstępuje Paderewski w zbiorze pt. „Miscellanea" (opus 16).

W tym też okresie objawia mu się piękno gór, kiedy wpatrując się w tatrzańskie szczyty, słucha dźwięków oryginalnej muzyki góralskiej słynnego muzykanta zakopiańskiego, Bartka Obrochty... — On to nie mógł się nadziwić panu Paderewskiemu, że „taki pojętny był okrutnie...." i „całom muzykę z tego zrobił"... A powstało wówczas z tego „Album Tatrzańskie", jako echo natchnienia idącego z granitowych szczytów przy akompanjamencie góralskiej pieśni. — A potem z tęskno ty za ludową piosenką narodzą się Cztery pieśni do słów Adama Asnyka (opus 7). Piękne, proste i szczere. — Po latach zaś kilku wyśpiewa to, co prawdą się stało w Jego życiu: Polały się łzy me, czyste, rzęsiste.

Powstaje Sześć pieśni do słów Adama Mickiewicza (opus 18).

Hymnem złożonym światowej literaturze fortepianowej jest Koncert a-mol (opus 17), w którym zbiegły się niemal wszystkie cechy talentu Paderewskiego. — Niesłychanem wirtuozostwem i bogactwem kolorytu zachwyca świetna i pełna polotu Fantazja Polska (opus 19).

Tak więc poza pominiętym tu utworem muzycznym Introduction et Toccata (opus 6) dobiegł końca okres pierwszy twórczości kompozytorskiej.

Na granicy dwóch okresów twórczości Paderewskiego wyrasta w roku 1900, „Manru" (opus 20), opera przedziwna, a w niej same „piękności i czary...". — Nadszedł rok 1903. Ustawiczna tęsknota za ideałem stwarza Sonatę fortepianową es-mol (opus 21) dającą obraz najboleśniejszych nastrojów i dramatycznych wstrząsów duszy ludzkiej, następnie Warjacje i Fugę na fortepian (opus 23), czyniące olbrzymie wrażenie swemi niezwykłemi efektami, wkońcu Dwanaście pieśni do słów Catulle Mendés'a (opus 22) i wreszcie Symfonja h-mol. — Wykonana została po raz pierwszy w Polsce w roku 1910 we Lwowie pod dyrekcją dawnego ucznia, prof. Henryka Opieńskiego, z okazji setnej rocznicy urodzin Chopina.

Na skomponowaniu dwóch jeszcze utworów kończy Paderewski swą twórczość kompozytorską. — Intermezzo na fortepian, oraz szkice sześciu Etiud fortepianowych są ostatnim śpiewem Artysty.

Wierny hasłu: *„La Patrie avant tout, l'art ensuite!"* — skoro spostrzegł że „nadszedł czas" wziął na swoje barki ciężar wywalczenia Polski. Nazwisko Jego za oceanem zrobiło swoje. Otworzyły się podwoje Białego Domu w Waszyngtonie, poczem w dniu 22 stycznia 1917 roku na posiedzeniu Kongresu padają z ust prezydenta Wilsona słowa o konieczności stworzenia Niepodległej i Zjednoczonej Polski z dostępem do morza.

— — — — A gdy po latach wrócił Paderewski do Sztuki, nie komponował już, lecz stał się odtąd jedynie odtwórcą dzieł znakomitych muzyków, najwspanialszym zaś wykonawcą swoich własnych! — Kiedy gra Chopin'a, Beethovena, Liszta, Schumana, Schuberta, Mendelssohna, Bacha czy Debus'ego zamyka w ich melodji swoje własne serce... Gra w natchnieniu, siejąc dokoła czar i zachyt...

TAD.

Kronika literacka

Nakładem Księgarni T. S. L. we Lwowie ukazała się nowa powieść Józefa Bieniasza, pt.: *Duch Czarnohory*. Dzieło znanego autora, który dzielnie podtrzymuje tradycje lwowskich prozatorów, wzbudzi zapewne żywe zainteresowanie wśród krytyki i publiczności czytającej. *Ducha Czarnohory* omówimy niebawem obszernie.

Świetnie rozwijający się kwartalnik *Marchołt* pod redakcją Stefana Kołaczkowskiego przynosi w tomie piątym (R. II. 1) bogatą treść. Bogdan Suchodolski pisze o Irvingu Babittcie („Studja nad humanizmem współczesnym" Cz. 1). Zygmunt Łempicki: „Literatura, poezja, życie", Stefan Kołaczkowski: „Organizacja kultury w Polsce", Czesław Białobrzeski: „Nauka myśla o przyrodzie na tle ogólnych wartości kultury". Kazimierz Molendziński: „W oczekiwaniu nowej legendy malarstwa polskiego", Adam Stawarski „Z zagadnień pluralizmu", poza tem rubryka *Przeglądy*, w której piszą Artur Górski, Augustyn Suski, Józef Spytkowski, Michał Kondracki i in. Na czele numeru *Marchołta* umieszczono piękne liryki Augustyna Suskiego, pisane gwarą. Młody poeta wsi jest naprawdę obiecującym talentem.

Przegląd Współczesny za wrzesień 1935 (Nr. 161) ma następującą treść: Stanisław Schayer: *O filozofowaniu Hindusów*, Marjan Kukiel: *Szymon Askenazy*, Marja Czapska: *Rosyjskie wypadki 1825 roku w listach Ludwiki Śniadeckiej*, Vojeslav Molè: *Ivan Meštrović*, Adam Heydel: *Myśli o kulturze*, ks. Wacław Tworkowski: *Maurycy Millioud*, Jan Kott: *Drogi awangardy poetyckiej w Polsce*, Kazimierz Wyka: *Jerzy Sorel*, Stanisław Wędkiewicz: *„Cud nad Wisłą" w publicystyce francuskiej*.

W nowym numerze (44-tym) tygodnika „Prosto z Mostu" znajdujemy opowiadanie Zygmunta Nowakowskiego pt. „Basso profondo", wiersze K. I. Gałczyńskiego: „W Warszawie" i „Do Edwarda Szymańskiego", artykuł polemiczny Jerzego Czerwińskiego „W obronie prawa". Bolesław Miciński zamieszcza szereg uwag na temat twórczości poetyckiej młodzieży szkolnej w artykule „Bez przepustki do archierejskiego wagona", Władysław Gluck kreśli sylwetkę Muhameda Mehmedbaszića, słynnego terorysty z 1914 roku. O nowej książce Jana Wiktora pisze Alfred Jesionowski. Nieznany list Marji Konopnickiej, „Opowiadanie dla dorastających dzieci" — Jana Waśniewskiego, feljeton Wojciecha Wasiutyńskiego, recenzje z Wystawy w IPS-ie — Jana Bajkowskiego, Na marginesie, Panopticum i kroniki, oraz stałe działy: powieściowy i przeglądu prasy — dopełniają treści numeru.

Na medjoleńskiem i genueńskiem „Campo Santo"

„Zobaczyć Neapol i umrzeć", mówi popularne przysłowie włoskie, którego matką jest podobno pomyłka. Wszystko możliwe. Wspaniała jest bowiem panorama tego miasta, piękne niektóre zabytki, ale sama mieścina wcale brudna, jak na najludniejsze miasto Italji. Sprawdza się tu zresztą pogląd, że we Włoszech im bardziej na południe, tem brudniej. Trudno się pogodzić w tych warunkach z przytoczonem na wstępie przysłowiem. Może bliższymi prawdy byliby Włosi, gdyby mówili „zobaczyć włoski cmentarz i umrzeć", a potem spocząć na nim na wieczny sen. Na to prędzej można by się zgodzić, zwłaszcza, gdyby w rachubę weszły medjolański „Cimitero Monumentale", lub genueński, pizański, czy boloński „Campo Santo". Wszystkie one od lat są celem wędrówek niezliczonych rzesz „forestierów".

Pierwszym objektem, który na obu cmentarzach rzuca się przybyszowi w oczy, są olbrzymie mauzolea, miejsce wiecznego spoczynku obywateli szczególnie zasłużonych. W pośrodku mauzoleów wspaniały widok na sam cmentarz. I tutaj odnosi się pierwsze wrażenie, które po skonfrontowaniu z polską rzeczywistością tem bardziej, prawem kontrastu, wżera się w pamięć. Cmentarz polski, zwłaszcza cmentarz wielkiego miasta, pełen pomników, czyni wrażenie oazy spokoju, rezygnacji, poddania się tragizmowi śmierci. Niezbyt zresztą liczne figuralne dekoracje grobowców, zdają się mówić: przepadło, stało się. A równocześnie tu i ówdzie spotyka się symboliczne uzmysłowienie wiary w życie pozagrobowe tam w zaświatach.



„Cimitero Monumentale" w Medjolanie. Widok spod łuków mauzoleum na jeden z pomników. (fot. Al. Kołek).

Inaczej tragizm śmierci odczuwa gorąca natura Włocha. Dla niego życie jest tak wielkim skarbem, że po stracie kogoś bliskiego nie chce się poddać rezygnacji, nie chce pogodzić się z tym bolesnym faktem i żal swój za życiem, które uleciało, wyraża niezwykle plastycznie. Stawia pomnik, ale nie taki, jak u nas spokojny, cichy, w bólu skamieniały. Włoski pomnik cm...ny, to uosobienie bezgranicznej rozpaczy, protestu przeciw śmierci. Postawiony pomnik jest piękny, czasem wprost wspaniały, na jaki tylko stać rodzinę zmarłego, z białego jak śnieg karraryjskiego marmuru, na który w dzień słoneczny patrzeć długo nie można, tak lśni, czasem z czarnego marmuru, a bardzo rzadko z materjału mniej szlachetnego, jak np. granit. Wykonanie grobowca powierzają Włosi nie rzemieślnikowi, ale rzeźbiarzowi-artyście, nierzadko wielkiemu artyście, z pod którego dłuta wychodzą dzieła godne muzealnej galerji. I rzeczywiście kopja niejednego cmentarnego pomnika z medjolańskiego „Cimitero Monumentale", czy genueńskiego „Campo Santo", zdobi włoskie zbiory sztuki. W Palazzo Rosso, kryjącym dzisiaj galerję miasta Genui, w dwuszeregu rzeźb środkiem którego defilują zwiedzający, odkryć nietrudno widzianą na cmentarzu, na jednym z grobowców w mauzoleum, wykutą w czarnym marmurze „walkę życia ze śmiercią". Życie przedstawił artysta jako piękną w kwiecie wieku kobietę. Tę klasycznie piękną istotę podeszła z tyłu stara bezoczna wiedźma śmierć i zdradzieckim uściskiem chwyciła za dłonie. Piękna kobieta nie ma sił atakować podstępnego napastnika, broni się jednak rozpaczliwie, wyrywa się, chce jeszcze żyć! Na twarzy maluje się rozpacz, widocznie na myśl, że może za chwilę trzeba będzie po raz ostatni spojrzeć na piękne miasto, czarowne słońce i zamknąć oczy na wieki. Ta rozpacz dodaje jej sił. Ale czy one starczą na wyrwanie się z żelaznego uścisku kostuchy?



Aleja na „Campo Santo" w Genui. (fot. Ad. Kołek).

Albo gdzieindziej, już na samym cmentarzu, w cieniu i alei żałobników-cyprysów, wzruszająca scena. Nie gwałtowna, jak inne, lecz spokojna, cicha, potężna jednak w swym wyrazie. Zmarła im siostra, pozostało ich dwie. Stanęły przy niej w chwili zgonu i obiema rękami uczepiły się kurczowo brzegu szaty powiewnej postaci-duszy ukochanej siostry, ulatującej ku błękitowi nieba, jakgdyby nie chciały jej puścić i usiłowały ściągnąć zpowrotem tutaj, na ten padół płaczu. Prześliczna grupa.

Tam znowu rodzice postawili pomnik swemu maleństwu, które dożyło zaledwie dwóch latek. Na małym stołeczku siedzi niańka, przed nią dzieciak, biorący pierwsze lekcje chodzenia. Wspiął się na obie nóżki, wyprostował je i stawia pierwszy krok, dla pewności trzyma się jednak rąk niańki. — Nieubłagana śmierć przerwała pasmo życia tego maleństwa.

Gdzieindziej na tapczanie spoczywa chora dziewczynka. Źle z nią już bardzo, wszyscy zwątpili. Jedna tylko matka czyni wszelkie wysiłki, by odsunąć jak najdalej straszną chwilę. Ujęła w dłonie kaganek — symbol życia dziecka — i osłania go troskliwie ręką, by nie zgasił nikłego płomyczka lodowaty podmuch śmierci.

Takich pomników na obu cmentarzach stoi setki i tysiące, co jeden to piękniejszy, co jeden to wspanialszy. Trudno przejść koło niejednego z nich bez wzruszenia. Ich piękno i wielka w wielu wypadkach wartość artystyczna przemieniają włoskie cmentarze w olbrzymie muzea, w których prezentuje w całej okazałości swe oblicze współczesna rzeźba włoska, a ściśle się wyrażając, jeden jej rodzaj.

ak.

Ciekawostki z przyrody i techniki

Leczenie oparzeń tranem. Wprowadzone od niedawna leczenie rozległych oparzelin tranem rybim dało nadspodziewanie pomyślne wyniki. Pod działaniem tranu giną szybko wszystkie drobnoustroje ropotwórcze, — gorączka ustępuje, a bolesność znika bardzo szybko.

Tran rybny stosuje się albo w stanie płynnym, albo we formie maści. Wielką zaletą tej kuracji jest fakt, że powstałe od oparzenia blizny są cienkie i gładkie, a po pewnym czasie stają się prawie niewidoczne.

Ropa naftowa i oliwa, a fauna morska. Międzynarodowy Związek Myśliwski zwraca uwagę na nowe, poważne niebezpieczeństwo, zagrażające ptactwu wędrownemu. Idzie mianowicie o to, że coraz więcej okrętów i statków, kursujących po oceanach, używa jako paliwa nie węgla, lecz ropy naftowej, — a odpadki tej ropy oraz oliwy zanieczyszczają wody morskie na znacznych przestrzeniach.

Ptactwo, które spocznie na chwilę na tak zanieczyszczonej wodzie, staje się niezdolnem do lotu, tłusta ropa bowiem oblepia mu zupełnie skrzydła.

Jeden ze strażników nadbrzeżnych w Massachusetts podaje w swoim raporcie, iż w styczniu i lutym 1933 r. brzegi wyspy Nantucket pokryte były całą masą ptactwa wędrownego, które w rozpaczliwych wysiłkach próbowały oczyścić sobie pióra z lepkiej ropy i oliwy i zdychały po paru dniach męczarni. Ilość tych ofiar wynosiła ponad 2.500 sztuk; były to przeważnie dzikie gęsi i kaczki.

Równie szkodliwie działa ropa naftowa na ryby, kraby i ostrygi. Rządy niektórych państw, jak Anglji, Belgji, Danji, Portugalji, wydały specjalne przepisy, w myśl których statki opalane ropą naftową muszą być zaopatrzone w specjalne separatory, odczyszczające odpadki ropy. Poza tem odpadki te wolno odrzucać do morza tylko w odpowiedniej odległości od brzegów, poza granicą wód terytorjalnych.

Parlament angielski, który debatował nad tą sprawą, powziął rezolucję, domagającą się, by uregulowaniem tego zagadnienia zajęła się Liga Narodów.

Nierdzewiejące żelazo. Produkowane od niejakiego czasu żelazo nierdzewiejące posiada tę wyższość nad nierdzewiejącą stalą, że można je kuć i sztancować zarówno na zimno jak i na gorąco. Jest ono przytem bardzo elastyczne. W skład tego żelaza wchodzi: chrom (11,7 proc.), nikiel (0.57 proc.), mangan (0.12 proc.), krzem (0.08 proc.), i węgiel (0.07 proc.).

Jak wynika z porównawczych badań, przeprowadzonych na nierdzewiejącej stali i takiemże żelazie, — jest to ostatnie znacznie więcej odporne na utlenianie się, niż stal. W 25-procentowym roztworze kwasu siarkowego stal utraciła po półtora godzinie 94.4 procent swego ciężaru, podczas gdy żelazo zaledwie 1.3 proc.

Jedna z firm amerykańskich wyrabia nierdzewiejące żelazo „Armco", w którem chrom i nikiel zastąpiony jest przez miedź.

Węgiel w Sowietach. Wedle przybliżonych obliczeń ogólne zapasy węgla na terenie Związku Sowieckiego wynoszą mają 1.100 miljonów ton, — przyczem najobfitsze pokłady znajdują się na Syberji. Pod względem zapasów węgla zajmuje Rosja Sowiecka trzecie miejsce w świecie po Stanach Zjedn. i Kanadzie.

O ogromnym rozwoju górnictwa węglowego w Sowietach świadczą następujące cyfry: w roku 1930 wydobyto ogółem (w tysiącach tonn) 48.132, — roku 1933 — 73.648, zaś w roku 1934 — 90.200. W roku 1913 natomiast cała produkcja węgla nie dochodziła do 29.000.

Wśród wydawnictw

JANINA KOCHANOWSKA: „Los Nr. 13", humoreska sceniczna w 3 akt. (Wyd. Książnica Polska „Leopolia"). Bezpretensjonalna, miła sztuczka, nadająca się doskonale na deski teatrów amatorskich. Dużo w niej humoru; — dobrze podpatrzone, choć nie nowe typki, wreszcie lekka muzyczka, składają się na wesołą całość, której osią centralną jest stary frak i związane z nim perypetje, znajdujące oczywiście pogodne zakończenie.

Przyroda i technika zeszyt 8 za październik (Wyd. „Książnica — Atlas S. A. Lwów — Warszawa). Zagadnieniom racjonalnej, nowoczesnej hodowli roślin użytkowych oraz drzew owocowych poświęca się w Rosji sowieckiej specjalną uwagę. Do rewelacyjnych wprost rezultatów na tem polu doszedł zmarły w lecie br. słynny pomolog **J. W. Miczurin**, o którym pisze B. Dzikowski.

Niemniej interesujące są badania prze prowadzane w Rosji pod kierunkiem prof. Wawiłowa nad **„Fotoperjodyzmem"** roślin, omówione wyczerpująco przez tegoż B. Dzikowskiego, a otwierające nowe perspektywy dla hodowców i ogrodników.

Miłośników przyrody zainteresuje artykuł K. Sembrata o jedynej odmianie **meduzy słodkowodnej**, występującej w Polsce. Inż. J. Szmid omawia zalety spawania szyn zapomocą termitu, który to system znajduje w Polsce coraz szersze zastosowanie.

Zeszyt uzupełniają zwykłe rubryki, **„Postępy i zdobycze wiedzy"**, **„Rzeczy ciekawe"** i **„Co się dzieje w Polsce"**.

BOLESŁAW DOBROMIR

Filologja na wygnaniu

Dziesiąta rocznica zgonu śp. Kazimierza Morawskiego, prezesa Pol. Akademji Umiejętności, wywołuje pesymistyczne refleksje na temat zainteresowania filologją i humanizmem w Polsce odrodzonej. Nie ulega wątpliwości, że osłabło ono i zmalało znacznie, że przełom powojenny w umysłowości pokolenia sprzyjał raczej zwrotowi antyhumanistycznemu i odbił się pod tym względem wyraźnie, a niekorzystnie na ustroju szkolnictwa i na szansach poczytności wydawnictw filologicznych.

Sp. Morawski zdołał nietylko wyjątkowo harmonijnie połączyć w swej pracy naukowej badania nad starożytnością zwłaszcza rzymską, nad retoryką i stylistyką łacińską i nad kulturą literacką cesarstwa rzymskiego, ze studjami nad humanizmem polskim, nad dziejami oświaty i cywilizacji staropolskiej w dobie renesansu, — ale umiał jak nikt dotąd skutecznie i owocnie pociągnąć ku tym tematom rodzimą elitę czytelniczą. Jego „Historję literatury rzymskiej" (7 t.) „Rzym, portrety i szkice", „Historję Uniwersytetu Jagiell." (średniowiecze i odrodzenie, 2 t.), „Czasy zygmuntowskie" i jego mistrzowskie przekłady tragedyj Sofoklesa, czytywali obok filologów przedewszystkiem laicy, inteligencja nasza, do której przemawiał i której imponował najbardziej, rzadkim u prawdziwych uczonych talentem pisarskim i śmiałym górnym polotem syntetycznym swego pióra.

Ze śmiercią Morawskiego ubył piśmiennictwu najwymowniejszy propagator filologji klasycznej i humanizmu w szerszych kołach społeczeństwa. Ustąpił on z pola właśnie w momencie silnej reakcji przeciw zarówno humanizmowi (jako kultowi literatury i sztuki, opartej o wzory antyczne, czy wprost tam sięgającej), jak niemniej przeciw filologji, jako nauce. Grekę wyrzuciło się niemal całkiem z gimnazjum, a z łaciną rozpoczęto walkę, stawiającą sobie jako cel zredukowanie jej wymogów do minimum.

Gimnazja wbrew nazwie humanistycznemi właściwie nie są. Toleruje się w nich ledwie lekturę, przyczem zrozumienie autorów starożytnych musi kuleć spowodu pobieżnego opanowania gramatyki i niewystarczającego zasobu słówek. Niełatwo w klasie uregulować współżycie humanizmu z rodzącą się filologją, uzgodnić rozbiór gramatyczny ze zrozumieniem poezji i piękna ducha starożytnego.

Walka z łaciną i płynącą stąd obojętność dla antyku, to jedna z koncepcyj nawskroś masońskich. Równocześnie na ona jest z podkopywaniem łączności z tradycją, przerywaniem ciągłości historycznej z cywilizacją grecko-rzymską, jako macierzą kultury europejskiej. Fakt, że dziś przy szeregu przedmiotów, nawet historji, nie wymaga się na uniwersytecie odpowiedniej znajomości języka łacińskiego, toruje może bezwiednie drogę nieuniknionemu dyletantyzmowi. Bo czemże jest znajomość historji bez zapoznania się ze źródłami z pierwszej ręki (źródłami w lwiej części łacińskiemi), jak nie dyletantyzmem?

Zacieśnienie filologji i jej ojca: humanizmu, do wąskich ram fachowej specjalności dla wtajemniczonych, nie wróży postępu myśli. Wykształcenie zawodowe, czy wyłącznie realistyczne, techniczne, matematyczno - przyrodnicze, nigdy nie zastąpi wiedzy ogólnej, nie wystarczy do wszechstronnego poglądu na świat, nie otworzy inteligentnej jednostce horyzontów dalszych i nie nauczy przedewszystkiem czci, szacunku dla przeszłości, której dorobku kulturalnego mamy być kontynuatorami i poszerzycielami.

Mnożą się uchodzące przeciętnego oka objawy, tego systematycznego ogranicznia filologji i jej zdobyczy do określonego grona studentów i docentów, tego odcinania jej od kontaktu z kołami czytającej jeszcze poważniejsze rzeczy publiczności. Czy to np. nie symptomatyczne, że w prawie 700-stronicowym katalogu informacyjnym „Książka w bibljotece" (1934), przeznaczonym dla księgozbiorów i wypożyczalń publicznych i zawierającym olbrzymi materjał bibljograficzny, nie znalazł się najskromniejszy bodaj kącik dla filologji klasycznej, natomiast szereg kartek zajmuje leśnictwo, hodowla, weterynarja, ogrodnictwo, łowiectwo, nie mówiąc o sporcie, grach, wynalazkach i fotografji, oraz filmie. Co więcej w skorowidzu autorów poleconych daremnie szukamy takich nazwisk, jak Horacy. Wergili, Owidjusz (naturalnie w przekładach)....

Za najlepszą pracę filologiczną uznano w latach ostatnich uznano wykłady uniwersyteckie o literaturze greckiej jednego z profesorów krakowskich, które poza specjalistami, nie zwabią ciekawych, a „odstraszają" samą objętością. Nawet tłumaczenia poetów starożytnych nie znajdują chętnych nakładców. A już osobliwym znakiem spadłu zainteresowań dla wielkich i drogich filologowi i humaniście rocznic, jest milczenie zalegające w wilję obchodu dwutysięcznego jubileuszu największego liryka rzymskiego, Kwintusa Horacjusza Flakkusa, którego urodziny wypadają 8 grudnia.

Na Węgrzech, we Francji, a szczególnie z dużym rozmachem w Stanach Zjednoczonych gotują się obchody rozliczne, w Polsce jedna Akademja krakowska zapowiedziała księgę pamiątkową, mającą przynajmniej wobec zagranicy zadokumentować wspólnotę naszą z ludami, przyznającemi się do dziedzictwa kultury grecko - rzymskiej i czczącemi jak należy jej świeczniki.

Więc określenie: filologja na wygnaniu, to w zastosowaniu do Polski nie zwrot emfatyczno - retoryczny, lecz smutna rzeczywistość. Oczywiście smutna dla tych jeno, co zdają sobie sprawę z nieprzemijających walorów owej „miłości umiejętności", która uczy potomność znać, cenić i kochać skarby duchowe obu naczelnych ludów starożytnych.

W osamotnieniu i upośledzeniu swojem może filologja polska w swoim bilansie na dobro swoje zapisać tę szczęśliwą okoliczność, że pośród jej oficjalnych przedstawicieli znalazła się ofiarna jednostka, własną inicjatywą i własnym szczodrym sumptem organizująca warsztaty pracy filologicznej, budująca poważne asylum trudu i dorobku filologicznego, rozpalająca zewsząd widne, entuzjazmem młodzieńczym swego inicjatora stale podsycane ognisko propagandy humanizmu w Rzplitej.

Mija właśnie lat dwadzieścia, odkąd rozwija swą tak intensywną działalność naukową wśród rodaków Ryszard *Ganszyniec* (ur. 1888), profesor filologji klasycznej i kierownik Instytutu kultury starożytnej Uniwersytetu Jana Kazimierza. Przybył do ojczyzny z Niemiec, jako wychowanek tamtejszych uczelni, wcześnie się wybijający i zwracający wśród obcych na siebie uwagę nietylko erudycją, ale i metodą badawczą. Rozpoczął pracę nauczycielską za okupacji pruskiej w Warszawie, został jednym z pierwszych profesorów nowotworzonego uniwersytetu poznańskiego ,by w 1920 r. przenieść się do Lwowa i tu systemotycznie formować twórczy ośrodek zaniedbanych studjów filologicznych.

Istny polihistor między swoimi kolegami po fachu, należy Ganszyniec do znawców źródłowych tak oddalonych dziedzin wiedzy, jak semitologja, papirologja, medjewistyka, historja medycyny, a przedewszystkiem religjonistyka. Badacz nawskroś oryginalny, wróg szablonu i rutyny, ostrożny analityk, nie zaniedbujący dla samodzielnych dociekań również strony pedagogicznej, ożywił znacznie na swojem seminarjum zajęcie tematami starożytniczemi. Wykłady jego, nie błyszczące swadą i nie pociągające werbalistyką, zaliczyć należy do najrzetelniej pouczających o rzeczy samej i poruszających kwestje i motywy z pogranicza literatury rzymskiej i greckiej, z zakresu kultury umysłowej, przez innych profesorów omijane, lub encyklopedycznie traktowane.

Stosunkowo mało płodny w znaczeniu ilości wyprodukowanych książek, dał się prof. Ganszyniec poznać poza drobniejszemi przyczynkami i artykułami, tudzież rozprawami w języku niemieckim, w jedynej swojej większej monografji: „Polskie listy miłosne dawnych czasów" (1925), wzorze akrybji naukowej w analizie tekstów. Z broszur popularnych wymienimy: „Dzieje abecadła".

Największe jednak zasługi położył Ganszyniec jako organizator prasowej i wydawniczej roboty filologicznej. W 1927 r. założył i przez siedem lat redagował „Kwartalnik Klasyczny" dla filologów, a równolegle prowadził „Przegląd Humanistyczny", dla pogłębiania znajomości humanjorów wśród niefilologów. W 1929 r. powołał do życia miesięcznik uczniowski: „Filomata" który po wszystkich gimnazjach roznosi dziś światło i ciepło promieni kulturalnych antyku, stając się walnym, nieocenionym poprostu czynnikiem podniesienia poziomu duchowego młodzieży, przeciwważenia niezdrowym wybujałościom jednostronnego rozwoju fizycznego.

Abnegat w życiu codziennem, nabywa ten uczony w 1930 r. drukarnię i odtąd dzieli swój czas między nią. a uniwersytetem. Każdy wolny grosz lokując w to kosztowne przedsiębiorstwo, kupuje zwolna najnowsze maszyny (linotypy), wyposaża drukarnię w potrzebne urządzenia techniczne, tworzy oddział introligatorski, nad wszystkiem sam czuwając, wszystkiego doglądając, osobiście pilnując składu i łamania.

Nie bacząc na wydatki i ewentualne straty, zdobywa drogie klisze i stawia dział ilustracyjny na odpowiedniej wyżynie, zadziwiając obfitością materjału w tej dziedzinie udostępnionego polskiemu czytelnikowi. Nadto forsuje własną pisownię wedle oryginałów grecko - rzymskich.

Zakłada „Bibljotekę Filomaty", zawierającą dotąd 14 tomów, m. in. Goethego „Fausta" (tłum Reisa), Ptaśnika „Życie żakow krakowskich", Bulasa „Keramikę", Bulandy „Etrurję i Etrusków", Smolki - Manteuffla „Papyrologję", Szelągowskiego „Rewolucję francuską". Świeżo wyszły w tej serji: dra Izydory Dąmbskiej, uczenicy i b. asystentki prof. Twardowskiego, „Zarys historji filozofji greckiej", dobry podręcznik o zakroju uniwersyteckim, oraz tom II-gi prof. Stan. Lenkowskiego: „Z życia i kultury antyku", szkice popularne. Każdy tom wydawnictwa „Bibl. Filomaty" ma nakład 2 tys. egzemplarzy.

Równocześnie stworzył prof. Ganszyniec „Bibljoteczkę Filomaty" która dotąd przyniosła 26 książeczek (nakład po 3 tys. egz.) przeznaczonych głównie dla starszych uczniów. Ostatnio ukazały się tu Br. Bilińskiego: „Hannibal", St. Pilcha „Tacitus", J. Czuprówny „Pindaros", I. Stockiej „Odkrycie Troi i świata Homera", Świeżawskiego „Boethius".

Osobny cykl pod nazwą „Parnassos" wypełniony został przekładami 10 tomów. Tu m. in. Sarbiewskiego „Igraszki leśne", Goethe'go „Achilleis" Ackermana „Poezje", „Hymny średniowieczne" i „Poezje" Foscolo. Odrębny zaś „Zbiór pisarzy polsko - łacińskich" zawarł m. in. „Poezje" Jana z Wiślicy, „Utwory łacińskie" Janickiego i „Księgę hymnów" Dantyszka.

Miejsce zlikwidowanego „Eosu" i „Kwartalnika Klasycznego", zajął w bieżącym roku „Przegląd Klasyczny" (nakład 2 tys. egz.), którego dotąd wyszło 4 numery, ostatni objętości 16 arkuszy. Jest to miesięcznik, obejmujący metodologję i dydaktykę filologji klasycznej, przegląd badań, bibljografję, przegląd czasopism, kronikę fachową. Obok filologji klasycznej uwzględnia archeologję, dzieje filozofji, językoznawstwo i historję starożytną.

„Przegląd Humanistyczny" od r. 1933 zamilkł, ale zapowiedziano jego wznowienie. „Filomata" bije 12 tys. egzemplarzy i gotuje się na grudzień do obchodu horacjańskiego (15 grudnia to dzień propagandowy „Filomaty" w szkołach. W „Bibljoteczce Filomaty" pojawi się z tej okazji nowela biograficzna J. Drzewieckiego: „Syn wyzwoleńca" (Horatius), Lewickiego „Wywczasy poety" w 2 częściach, „Wybór poezyj" Horacego i jego „Pieśni" z melodjami, ze szczególnem uwzględnieniem kompozytorów polskich.

Tak wygląda w dorywczej wiązance tytułów i cyfr plon zabiegów prof. Ganszyńca na niwie umiłowanej. Dzięki niemu, jego zapałowi, wytrwałości i środkom materjalnym, filologja polska, choć „urzędowo" na wygnaniu, żyje i oddecha jeszcze pełną piersią, przez prasę i książkę pełniąc dobrą misję wychowawczą. Kiedy, jak kiedy, ale w 20-lecie jego działalności profesorskiej godziło się to szerokiej opinji przypomnieć

Pierwszy pionjer polski w Kamerunie

Konflikt włosko - abisyński dał asumpt Niemcom do rozwinięcia energicznej propagandy za rewindykacją ich dawnych kolonij, które po wojnie przeszły pod opiekę Ligi Narodów. Jak wiadomo, w roku 1914 Niemcy zajmowały trzecie skolei miejsce wśród mocarstw kolonjalnych, po Anglji i Francji, — a posiadłości ich koncentrowały się głównie w Afryce.

Wśród tych ostatnich pierwsze miejsce zajmował Kamerun, a to zarówno ze względu na swój obszar, jak i na olbrzymie bogactwa naturalne.

Kamerun, którego nazwa wywodzi się od specjalnego gatunku raków, zwanych po portugalsku „Camerones", jest krainą o obszarze około 500 tysięcy kilometrów kwadr., leżącą w pobliżu równika. Posiada on wszystkie cechy charakterystyczne krajów podzwrotnikowych Afryki: niskie, błotniste wybrzeże o zabójczym dla Europejczyków klimacie, wielką ilość opadów deszczowych, wysoką temperaturę (przeciętna roczna +25 stopni) i niesłychanie bujną roślinność.

W głębi kraju, wyżynie, klimat jest zdrowszy i znośniejszy. W nieprzebytych gąszczach leśnych, wśród palm, mangrowij, ljanów, kryją się stada małp, antylop, słoni, bawołów i hipopotamów; rzeki roją się od krokodyli, a jadowite ogromne węże czyhają na zuchwałych podróżników.

Prawdziwy to raj dla naturalistów. Szczególnie ciekawą jest fauna ichtjologiczna Kamerunu, wśród której jest cała masa ryb rzadko spotykanych w innych okolicach. Na wyróżnienie zasługują ryby z gatunku *Mormyrides,* znane jeszcze za czasów Faraonów, gdyż podobizny ich spotyka się na starych rzeźbach egipskich. Małe te stosunkowo rybki, nie przekraczające pół metra długości, odznaczają się niezwykle oryginalną głową, przypominającą z kształtu jużto trąbę słonia, jużto łeb koński i.t.p.

Inny gatunek ryb, zwanych w narzeczu miejscowem *Pilapie (Citharinus* cithaurus) charakterystyczny jest z tego względu, że samice przechowują jajka w jamie gębowej, aż do zupełnego ich rozwoju.

Wspomnieć też trzeba o specjalnej odmianie ogromnych raków *„Camerones,* stanowiących ulubiony przysmak krajowców.

Z historją Kamerunu, — tej, do dziś dnia jeszcze niemal dziewiczej krainy, — łączy się ściśle nazwisko naszego rodaka, Rogozińskiego. Warto tedy przypomnieć dziś dzieje tej jego ekspedycji, która w swoim czasie narobiła dużo wrzawy zarówno u nas w kraju, jak i zagranicą — i omal nie doprowadziła do poważnego konfliktu między Anglją a Niemcami.

Stefan Scholtz - Rogoziński był najstarszym synem bogatego przemysłowca tkackiego, pochodzącego z rodziny niemieckiej. Urodzony w roku 1860. od wczesnej młodości marzył o dalekich podróżach i badaniu nieznanych krain. Jako elew rosyjskiej mary narki odbył podróż naokoło świata na okręcie wojennym, — a te wędrówki podniecały jeszcze bardziej jego wyobraźnię i żądzę przygód.

W lecie 1881 roku, za bytnością w Neapolu omawia z włoskimi badaczami i podróżnikami projekt swej wyprawy do Kamerunu. Znaleźli się nawet kapitaliści, gotowi sfinansować tę wyprawę, mogącą przynieść Włochom duże możliwości handlowe. Ale Rogoziński, który zawsze czuł się Polakiem i dla zaakcentowania swego polskiego pochodzenia przybrał do nazwiska swego polskie nazwisko swej matki, z domu Rogozińskiej, — miał inne plany. Jemu szło właśnie o to, by wyprawa projektowana miała wyraźny, zdecydowany polski charakter. Zrezygnował tedy z pomocy Włochów; wrócił do kraju, a po wystąpieniu z marynarki rosyjskiej rozpoczął w Warszawie akcję, celem zainteresowania społeczeństwa zamierzoną wyprawą i zebrania potrzebnych na nią funduszów.

Na jednym z odczytów urządzonych w Warszawie oświadczył odrazu:

„Walczę o środki, chciałbym zdobyć je we własnym kraju, by i owoce wyprawy w nim pozostać kiedyś mogły. Czy nam się to uda, czy kotwica, na której staniemy przy Kameruńskich brzegach z naszego będzie odlana żelaza i czy z nagłówkiem naszego kraju będzie mogła spocząć kiedyś pośród pamiątek naszej przeszłości, — nie wiem; lecz jest to gorącem mem pragnieniem".

W listopadzie 1881 ogłosił Rogoziński w *„Wędrowcu"* szczegółowy plan projektowanej wyprawy. Wywołało to w Warszawie żywy ruch i gorącą polemikę. Odezwały się głosy za i przeciw. Do żarliwych obrońców i szermierzy tej idei należeli H. Sienkiewicz i Bolesław Prus, który zamieścił na ten temat kilka artykułów w „Kurjerze Warszawskim" (nr. 22 i 24 z roku 1882).

Natomiast bardzo krytycznie i wręcz nieżyczliwie ustosunkował się do „afrykańskiej wyprawy" A. Świętochowski. W wydawanym przez siebie tygodniku *„Prawda"* poddał ostrej krytyce projekt Rogozińskiego. W tygodniowej stałej rubryce, zatytułowanej „Liberum veto" wyśmiewał Świętochowski zarów no sam pomysł, jak i jego autora, nie szczędząc też ostrych docinków pod adresem Prusa.

Zdaniem Świętochowskiego, naród, który nie ma podręczników geograficznych i nie zna własnego kraju, — ma tysiące innych, ważniejszych i pilniejszych potrzeb, niż urządzanie geograficznej ekspedycji.

O tonie tej ostrej polemiki świadczy poniższy urywek z artykułu, zamieszczonego w nr. 5 *„Prawdy"* z dnia 4-go lutego 1882 roku:

„B. Prus tak głęboko kryje nieraz swój humor, że czytając dwie jego apologie „pierwszej" wyprawy polskiej do Afryki sądziłem, że pod maską ich powagi śmiech dojrzę. Prus poparł myśl złożenia 10 tysięcy rubli na ołtarzu nadziei odkrycia jeziora Liba — zupełnie serjo. Trudno — szacunek dla przeciwnika nie pozwala mi zołnąć się od tej sprawy i przekazać ją tam, gdzie ona właściwie i bez naszego udziału powinna być rozstrzygnięta, — w pismach humorystycznych...

...Byłem odrazu przekonany, że arystokracja nasza, która na przedsięwzięcia poza krajem zawsze ma dłoń pełną,... która chętniej sprawi folblutom angielskie mahoniowe żłoby, niż Mickiewiczowi pomnik, — poprzez ten wyskok...

...Pod godłem hojnego kaprysu pańskiego niech sobie jedzie, ale niech od ogółu nic więcej nie zabiera, procz życzenia szczęśliwej podróży..."

Mimo wszystko jednak Rogoziński swoją żelazną energją i wytrwałością zdołał ostatecznie przełamać liczne przeszkody Dzięki pomocy materjalnej Benedykta Tyszkiewicza i Konstantego Branickiego w dniu 13 grudnia 1882 r. wypłynął z Havru żaglowiec „Łucja Małgorzata" na pełne morze, wioząc prócz Rogozińskiego i załogi francuskiej, czterech jeszcze Polaków: Ostaszewskiego-Barańskiego, Hirschenfelda, Leopolda Janikowskiego i Klemensa Tomczka. Ci dwaj ostatni tylko dotrzymali towarzystwa Rogozińskiemu aż do końca, przyczem Janikowski zajmował się specjalnie opieką i porządkowaniem bogatych zbiorów. Tomczek nie wrócił już z wyprawy: w roku 1884, nabawiwszy się choroby tropikalnej, zmarł na wyspie Mondoleh, w pobliżu Fernando Po.

W ciągu swego trzyletniego pobytu w Kamerunie dokonał Rogoziński naprawdę wiele dla nauki i sławy imienia polskiego. Nie lękając się żadnego wysiłku, nie licząc się z grozącemi mu na każdym kroku niebezpieczeństwami, dotarł w głąb krainy Bakundu, doszedł do wodospadów Mungo i do jeziora Mbu, któremu na cześć hr. Tyszkiewicza nadał nazwę jeziora Benedykta. a wreszcie w grudniu 1884 roku zdobył w towarzystwie Janikowskiego i przypadkowego współtowarzysza tej wyprawy Niemca Hugona Zöllera, najwyższy szczyt gór Kameruńskich. Mongo - ma - Lobah. — dochodzący do 4000 mtr. wysokości.

Przywiózł też do kraju bogate i cenne zbiory etnograficzne. które ofiarował Muzeum Baranieckiego w Krakowie.

Dużą wartość mają też jego rozprawy o narzeczu szczepu Bakwiri, szkice podróżnicze i mapa wybrzeża Kameruńskiego. wydana w r. 1884 przez Krakowską Akademję Umiejętności.

W roku 1888 poślubił Rogoziński znaną i popularną podówczas pisarkę Helenę Bogucką, występującą w literaturze pod pseudonimem Hajoty. Razem z nią jedzie znów do Afryki i osiada na wyspie Fernando - Pu, już jako plantator. Z tego okresu czasu datują się egzotyczne nowele Hajoty (*„Z dalekich lądów"*) oraz jej opisy podróży. Hajota bowiem miała również żyłkę podróżniczą i urządzała śmiałe ekspedycje, między innemi na najwyższy szczyt na wyspie Fernando - Po, na Santa Isabel. Była pierwszą kobietą, której stopa stanęła na tym szczycie.

Rok 1884 przyniósł Rogozińskiemu bolesny zawód: w tym roku mianowicie Kamerun dostał się pod protektorat Niemiec, co przekreśliło definitywnie wszystkie marzenia Rogozińskiego o stworzeniu własnej, niezawisłej kolonji dla Polski.

Wszystkie jego próby i usiłowania, zmierzające do zainteresowania Anglji sprawą Kamerunu, skończyły się niepowodzeniem. Zmarł Rogoziński w Paryżu, w roku 1896, licząc zaledwie 36 lat.

Dzisiaj Kamerun, jako terytorjum mandatowe znajduje się częściowo pod opieką Anglji, która objęła 80.600 klm. kwadr. z 670 tysiącami mieszkańców,— częściowo zaś Francji, której przypadło 431.400 klm. kwadr. z ludnością licz ącą blisko 1,900.000 głów.

Wśród długiego pocztu naszych badaczy i podróżników zajmuje Rogoziński zupełnie odrębne miejsce.

W wyprawie swej do Kamerunu nie kierował się wyłącznie ani ambicją czy interesem osobistym ani zamiarem wzbogacenia tylko naszego dorobku naukowego. Patrzał dalej w przyszłość. W czasie, gdy naród polski nie posiadał ani skrawka własnego morza, ani własnej państwowości, rozdarty na trzy części, — Rogoziński postanowił sobie zdobyć dla narodu polskiego szmat ziemi afrykańskiej, zatknąć tam flagę biało - czerwoną, stworzyć własną, niezawisłą kolonję dla Polski.

Jedyna to w historji naszej wyprawa, którą wiodła myśl państwowa polska. I w tem tkwi jej ogromne znaczenie i jej nieoceniona wartość.

Dziś, kiedy kwestja kolonjalna staje na porządku dziennym, kiedy coraz energiczniej i głośniej wysuwa się z różnych stron postulat nowego podziału kolonij zamorskich, — godzi się trzeba przypominać zasługi Rogozińskiego, pionjera niezmordowanego, co w czasach naszej niewoli podróżował po czarnym lądzie, wiedziony gorącą miłością ojczyzny i chęcią zdobycia dla niej kolonij. (R.)



Zima nadchodzi.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Do nieodzownych prawie akcesorjów stroju kobiecego należy dziś pasek, z najrozmaitszych materjałów i w najrozmaitszej formie. A więc paski skórzane, ze skóry gładkiej lub świecącej, — dalej szczególnie modne paski aksamitne, noszone i do sukien spacerowych i do wizytowych. O paskach ze sznurów wspominaliśmy już poprzednio, ale poza tem nosi się paski i z brokatu i z lamy i z celofanu, z muszelek, strassu i pajetek. A nawet — paski futrzane. Z temi ostatniemi jednak ostrożnie! Nie nadają się do każdej sukni i do każdej figury.

— Kłopot z włosami! Nie rosną tak szybko, jakby się chciało. A zresztą, któż zaręczy, że do wiosny będzie jeszcze trwać moda długich włosów, na którą się obecnie poważnie zanosi? Więc elegantki paryskie przypinają sobie poprostu sztuczne warkocze, potrzebne przy stylowych toaletach wieczorowych.

Traktuje się je niekiedy poprostu jako przybranie i dlatego np. widzimy warkocze zielone, błękitne, srebrne, zależnie od koloru przybrania sukni. Czasem nawet warkocz spleciony jest z nici dwukolorowych, w kolorze sukni i w kolorze jej przybrania!

— Wracamy do „jupe-culotte"! Widzi się je we wszystkich pierwszorzędnych magazynach paryskich, a zdobywają one sobie coraz więcej zwolenniczek.

Zrobione z tweedu, w spokojnych kolorach, nadają się tylko do kostjumów tailleur, zastępując i naśladując do złudzenia spódniczkę, dzieki odpowiedniemu krojowi. Jupe-culotte ma tę samą długość, co spodniczka, a nosi się je nietylko na polowania i wycieczki, ale zwłaszcza jako wygodne i grabne ubranie sportowe.

— Do ciemnych wełnianych sukien nosi się metalowe naszyjniki, artystycznie emaljowane, lub wysadzane kolorowemi, lśniącemi kamieniami, jak turkusy, ametysty, szafiry.

— Moda obecna kładzie główny nacisk na rękawy, których oryginalny, mniej lub więcej fantastyczny krój nadaje charakterystyczny wyraz każdej sukni, od najskromniejszej począwszy. Jaki krój rękawów jest najmodniejszy, niepodobna orzec. Dopuszczalne są wszelkie możliwe kombinacje. A więc rękawy górą szerokie i przymarszczone, wedle wzorów z końca ubiegłego wieku. Rękawy o podwójnych bufach, jak z obrazów średniowiecza. Rękawy u góry wąskie, od łokcia kielichowato rozszerzające się. To znów renesansowe rękawy, bogato haftowane, albo powiewne odpowiednie zwłaszcza dla osób wysokich, a smukłych, rękawy złożone z trzech kondygnacyj falban. Inny efekt dadzą rękawy, u góry przylegające do ramion, a dalej sute i szerokie, w przegubie ręki zaś zupełnie zwężone. Przy sukniach wieczorowych przybiera się rękawy koronkami, guzikami z błyszczącego strasu, aplikacjami. Bardzo ładnie też wyglądają przy sukniach jedwabnych lub aksamitnych przejrzyste rękawy z gazy lub tiulu.

Sowieckie manekiny

Na punkcie stroju kobieta sowiecka była do niedawna bardzo upośledzona. Musiała albo sama szyć sobie suknie z nienajlepszych materjałów, albo kupować gotową konfekcję, suknie przeważnie niemodne i bez gustu zrobione.

Ostatnio poprawiło się dużo w tym względzie. W Moskwie powstał cały szereg pracowni krawieckich, t. zw. **„Atelier de Mode"**, z których kilka pierwszorzędnych urządziło jesienno-zimowy pokaz mód, z udziałem prawdziwych, żywych „manekinów". Niebardzo się one jeszcze pewnie czuły, brak im było tej gracji, gibkości i wdzięku, cechującego ich koleżanki paryskie, ale urządzone rewje mód miały mimo to szalone powodzenie.

Przyznać też trzeba, że pokazywane modele — abstrahując od materjału, z którego były zrobione, a który ciągle jeszcze pozostawia dużo do życzenia, były naprawdę ładne i bardzo starannie wykończone. Moskwa ma dobre krawczynie i zdolnych rysowników, kopiujących wcale zręcznie modę paryską. Oryginalności trudno się w nich dopatrzeć.

Dobra, elegancka suknia wieczorowa kosztuje w Moskwie 200—300 rubli. Suma to duża. Ale też klientela tych pracowni rekrutuje się ze sfer zamożnych „speców", dyrektorów trustów, profesorów, chemików, inżynierów i t. p.

„Manekiny" jeszcze sukien takich nosić należycie nie umieją...

Poradnik dla gosposi

WYBOROWA LEGUMINA OWOCOWA.

Utrzeć do białości pięć żółtek z filiżanką cukru, domieszać białka, ubite na pianę, wsypać filiżankę mąki kartoflanej ostrożnie wymieszać, przełożyć do wysmarowanej masłem formy i natychmiast włożyć na 10 minut w gorący piec. Po upieczeniu pokrajać w skośne kawałki, ułożyć w krąg na półmisku, na wierzch złożyć świeże albo z konfitur wyjęte owoce i zalać sosem, przyrządzonym w następujący sposób: łyżkę śmietankowego masła rozpuścić i zasmażyć w odrobinę, na koniec noża wziętą, mąki kartoflanej, rozprowadzić to szklanką syropu owocowego, dodać kieliszek dobrego araku, włożyć łyżeczkę marmelady jabłkowej lub syropu z jasnych konfitur. Leguminę polać gorącym sosem, resztę sosu podać w sosjerce.

GĘŚ DUSZONA.

Obmywszy gęś dobrze, nasolić ją wewnątrz i zewnątrz, naciąć w miejscach, gdzie kości są najtwardsze, a to w celu późniejszego łatwiejszego ćwiartowania przy podawaniu, do wnętrza włożyć 2—3 twarde, winne jabłka dla podniesienia smaku mięsa i obwiązawszy tak przygotowanego ptaka wyparzonym sznurkiem mocno, aby jabłka nie wypadły, włożyć na rondel, zalać pół litrem zimnej wody i dodawszy łyżkę masła, dusić na wolnym ogniu. Woda wygotuje się zwolna, pozostanie smaczny bronzowy sos, którym polewamy mięso przy podawaniu. Gęś zbyt tłusta do podobnego duszenia nie nadaje się. Kaczka w ten sposób przygotowana nadzwyczaj jest smaczna.

KUROPATWY DUSZONE.

Naszpikować na piersiach kuropatwy, ułożyć w rynce na plastrach słoniny i dusić pod pokrywą, podlewając rosołem, aby nie wyschły. Gdy są już miękkie i rumiane, podlać ćwiartką śmietany rozbitą z łyżeczką mąki, podgotować i podać pokrajane na połówki, otoczone dokoła makaronem.

POTRAWKA Z FASZEROWANEJ KURY.

Młodą, tłustą, mięsistą kurę powiesić z wnętrznościami, aby skruszała. Trzymać tak w chłodzie 24 godziny, poczem oskubać (nie parząc). Opalić nad płomieniem spirytusowym, wyjąć wnętrzności, wymyć doskonale w kilku wodach. Osączoną z wody kurę położyć na desce, przeciąć skórę wzdłuż na grzbiecie i odjąć od niej delikatnie wszystko mięso wraz z kostkami, uważając, aby skóry nie uszkodzić. Mięso zdjąć z kości, wyżyłować, przepuścić dwukrotnie przez maszynkę od mięsa.

Namoczyć jedną bułkę otartą ze skórki w mleku, doskonale odcisnąć. Rozetrzeć na misce 2 łyżki masła z jednem całem jajem i jednem żółtkiem. Dodawać stopniowo odciśniętą bułkę i ucierać wałkiem, dopóki nie wytworzy się gładka, pulchna masa. Do tej masy dodać mielone mięso, soli do smaku, trochę duszonych w maśle drobno poszatkowanych pieczarek, szczyptę białego pieprzu i siekanej zieleninki. Napełnić tym farszem skórę od kury, zaszyć grubo miękką białą bawełną.

Zawczasu ugotować smak na włoszczyźnie i cebuli, dodając trochę bulionu i kostki wyjęte z kury. Włożyć faszerowaną kurę do rondla, zalać wystudzonym smakiem, gotować na wolnym ogniu półtorej godziny. Gdy kura już gotowa, przyrządzić biały sos na smaku, w którym się gotowała, dodając do niego garść dojrzałych jagód winogronowych. Sos doprawić do smaku sokiem cytrynowym, a na wydaniu włożyć łyżkę surowego masła deserowego. Pokrajać zręcznie kurę faszerowaną, zalać bardzo gorącym sosem. Oddzielnie dać ryż gotowany na sypko.

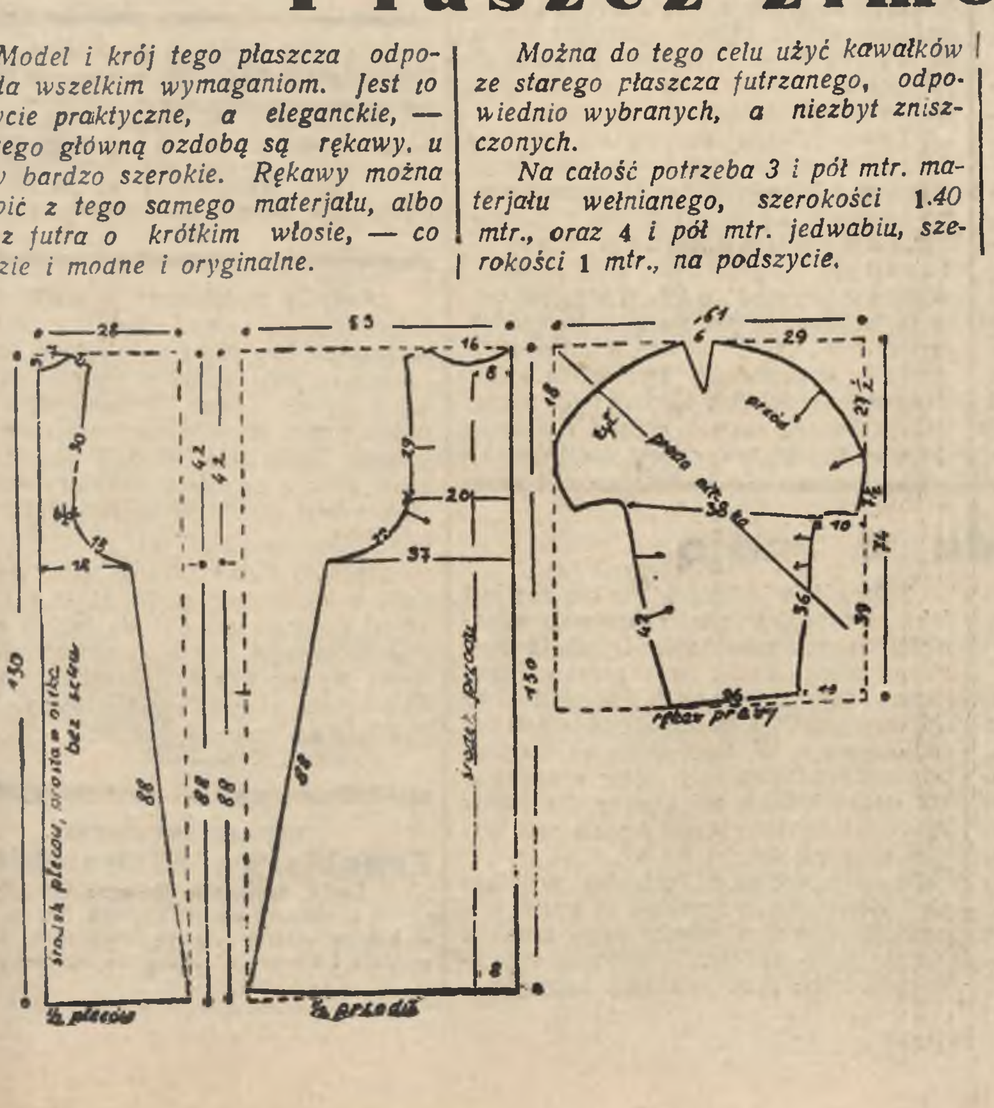
Płaszcz zimowy

Model i krój tego płaszcza odpowiada wszelkim wymaganiom. Jest to okrycie praktyczne, a eleganckie, którego główną ozdobą są rękawy, u góry bardzo szerokie. Rękawy można zrobić z tego samego materjału, albo też z futra o krótkim włosie, — co będzie i modne i oryginalne.

Można do tego celu użyć kawałków ze starego płaszcza futrzanego, odpowiednio wybranych, a niezbyt zniszczonych.

Na całość potrzeba 3 i pół mtr. materjału wełnianego, szerokości 1.40 mtr., oraz 4 i pół mtr. jedwabiu, szerokości 1 mtr., na podszycie.

Na rysunku płaszcz ten sporządzony jest w całości z materjału i przybrany futrzaną krawatką.





WŚRÓD WYDAWNICTW

Nr. 43 **„Bluszczu"** rozpoczyna artykuł „Wartości ducnowe w budżecie państwowym", omawiający przemówienie min. Kwiatkowskiego. Pozatem mamy prace: „Dwudziestopięciolecie pracy organizacyjnej i społecznej Emilji Napierralskiej", — „Jam nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli" — reportaż z Czarnc; w związku z rocznicą śmierci Czarnieckiego, „Letnie kursa artystyczne w Polsce i Rumunji", nowelę „Modlitwa Tereski", „Moda wojenna czy pokojowa", „Z teatrów", Przegląd prasy, kolumnę spraw gospodarczych, dział aktualij kobiecych.

W dziale „Muzyka na codzień" artykuł „O lepszy poziom umuzykalnienia powszechnego" i utwór muzyczny „Djalog".

Działy praktyczne: „Prawo na codzień", „Nasz lekarz", „Ogrodnictwo i hodowla", „Dom i gospodarstwo", zawierają dużo wskazówek, niezbędnych dla każdej kobiety.

Piękne mody i roboty kolorowe stanowią prawdziwą ozdobę numeru.

Podział godzin przed mikrofonem

W prasie francuskiej rozwinęła się ostatnio żywa, a ciekawa dyskusja na temat programów radjowych. Zanim ją streścimy, — musi się przypomnieć jeden fakt: w myśl statutów mają we Francji sami radjoabonenci prawo zabierania głosu w specjalnych radach zarządzających, do których wchodzą drogą wyboru. Mają nawet w dość znacznym stopniu możność decydowania o układzie programów, — oczywiście w porozumieniu z czynnikami urzędowemi.

Wszystko to sprawia, że zagadnienie radjofonji stało się we Francji sprawą, interesującą bezpośrednio szeroki ogół, który — czyto przez swych delegatów do rad, czy za pośrednictwem prasy wypowiada swe dezyderaty, żale i uwagi krytyczne.

Tym razem idzie w dyskusji o komunikaty czyto z zakresu wielkiej polityki, czy o ważniejszych wewnętrznych wydarzeniach, nadawane przez francuskie radjostacje. I rzecz ciekawa: dyskusja toczy się na łamach prasy paryskiej, zajmującej w tej sprawie zasadniczo stanowisko zupełnie życzliwe wobec swego rzekomego „konkurenta", za jakiego radjo jeszcze ciągle w opinji pewnych kół uchodzi.

Pokazuje się, że naprawdę o jakiejś „konkurencji" mowy być nie może, — o czem świadczą choćby miljonowe nakłady poczytnych dzienników paryskich. Skróty telegraficzne, nadawane przez radjo, zaostrzają tylko ciekawość słuchacza, który po wysłuchaniu ich tem skwapliwiej sięgnie po swój dziennik, by tam dowiedzieć się bliższych szczegółów.

* * *

Sprawa jest taka: niektóre radjostacje francuskie nadają krótkie komunikaty prasowe dorywczo, w miarę napływania materjału, — gdzieś między koncertem fortepianowym a reportażem z meczu lub płatną reklamą. I dzienniki francuskie słusznie dopominają się o wyznaczenie pewnych stałych, niezmiennych godzin na nadawanie tych komunikatów prasowych. Niech słuchacz wie zgóry, że np. o godzinie 15.00 i o godz. 21.00 usłyszy krótki przegląd najważniejszych wydarzeń politycznych, — w innej godzinie „kronikę ekonomiczną", jeszcze w innej krótkie wiadomości sportowe itd. itd.

Ale muszą to być godziny stałe, obowiązujące przez cały tydzień, miesiąc, rok... Poprostu szczegółowy „podział godzin".

Nie wątpimy, że radjofonja francuska wkrótce uwzględni ten, najzupełniej słuszny i rozsądny postulat. Uważamy jednak, że zasadniczo sprawa ta interesuje w równej mierze i radjofonje innych krajów, a więc i naszą.

Powie ktoś jednak: przecież każdy radjosłuchacz ma do dyspozycji szczegółowe programy radjowe, zamieszczone co dnia na łamach dzienników. Ma komunikaty, ma specjalne czasopisma. Wszystko to prawda. Tylko jest jedno „ale".

Programy, drukowane w pismach na ostatnich stronach, możliwie drobnym drukiem, gęsto i zwięźle, — nie zachęcają zbytnio do czytania i psucia sobie oczu. Brak im przytem przejrzystości — trzeba z trudem przebijać się przez gęstą szpaltę, zanim się wyłowi interesujące nas specjalnie audycje.

Tożsamo mniej więcej powiedzieć można o programach radjowych, drukowanych w specjalnych czasopismach które większy nacisk kładą na stronę literacką, techniczną i ilustracyjną, — niż na suchy, nieinteresujący program całotygodniowy.

Stąd liczne nieporozumienia, zawody i żale. Oto przeoczyliśmy ciekawą audycję, — tu znów z głośnika płyną słowa jakiegoś fachowego odczytu, zupełnie nas nie interesującego.

* * *

Zawsze kozłem ofiarnym będzie radjostacja. Po części może i słusznie o tyle, że nie każdy typ audycji ma swoją uświęconą, stałą godzinę lub kwadrans. Tutaj trzebaby zacząć reformę: ułożyć tzw. „program ramowy", w którym na każdy dzień, na każdą godzinę tygodnia wyznaczoną byłaby audycja tego czy innego typu. Sprawa ta zresztą już jest u nas poczęści załatwiona i to właśnie w sposób wyżej podany.

Widziałem w rozgłośni lwowskiej piękny kolorowy „rozkład godzin": czerwonym, niebieskim, zielonym i czarnym ołówkiem zakreślane są audycje „lekkie", muzyka, pogadanki, „minuty poezji", komunikaty itp. Bardzo to ładnie wygląda, a pod względem optycznym ułatwia ogromnie orjentację.

Niestety — takiego kolorowego „podziału godzin" radjosłuchacz nie ma pod ręką. A przydałby mu się bardzo!

Dzisiaj ustalił się już i skrystalizował typ naszego radjosłuchacza. Znikomy zaledwie odsetek uważa głośnik za sprzęt dekoracyjny, będący źródłem łatwej rozrywki, dla zabicia nudów. Normalnie radjosłuchacz szuka w radju czegoś więcej. Chce się dowiedzieć czegoś z działów, które go specjalnie interesują, chce usłyszeć dobrą muzykę, lub ciekawy odczyt. Ten słuchać będzie z natężeniem komunikatów sportowych, inny wykładów z dziedziny rolnictwa albo z naszej historji.

Więc trzeba im ułatwić orjentację. Niedaleko już do Świąt i Nowego Roku... Czyby tak dyrekcja Polskiego Radja nie mogła zdobyć się na maleńki prezent dla swych radjoabonentów: dwanaście arkuszy kartonu z dokładnym podziałem godzin i odpowiedniemi rubrykami do wypełniania w miarę potrzeby?

Jestem pewny, że drobny ten stosunkowo wydatek opłaciłby się sowicie, a abonenci przyjęliby z wdzięcznością ten drobiazg, dzięki któremu zyskaliby jasny, przejrzysty przegląd wszystkich stałych audycyj. Tylko trzeba, żeby „program ramowy", doskonale przemyślany i starannie opracowany dla każdej radjostacji, obowiązywał stale, bez żadnych zmian i niespodzianek. Niechaj radjosłuchacz ma pewność, że w tym swoim „żywym dzienniku" znajdzie zawsze o każdej zgóry wyznaczonej porze wszystko to, co program ramowy przewiduje, a co jego specjalnie interesuje.

(LUCY)

Ze wspomnień słuchowych

Dwudziestopięciolecie śmierci Marji Konopnickiej, poetki tak silnie ze Lwowem związanej, odbiło się i zaważyło na literackich audycjach radjowych. Więc przed paroma tygodniami słyszeliśmy pierwszą — nadaną tylko na Lwów — audycję poświęconą tej „największej poetce drugiej połowy XIX-go wieku", a w ubiegły poniedziałek transmitowany na całą Polskę lwowski „Wieczór Literacki". Jeśli pierwsza audycja, nie starająca się o objęcie szerszych horyzontów, zakreślone zadanie spełniała, to druga, której brak było pewnej jednolitości w ujęciu, miała charakter zlepka, nie spojonego wyraźnem piętnem indywidualności literackiej, nie miała specjalnego wyrazu, ni oblicza. Słuchając jej odnosiło się wrażenie, iż nad całokształtem tej audycji pracowało kilku ludzi równocześnie, co jednak w sumie nie dało zbyt dobrych efektów. Co do wykonania — było ono zupełnie poprawne, choć może nie wszystkie wiersze w interpretacji Marji Maranowicz zdołały przemówić do słuchaczy, lub wzbudzić w nich wrażenia, zawarte w ich założeniu. Ale było to już naogół sprawą mniejszej wagi.

Pamiętamy jeszcze jak mniej więcej przed rokiem i wcześniej, nadawano tygodniowo conajmniej jedno „wesele ludowe". Oczywiście — trochę przesadzam, ale wesel rozmaitych było w radjo istne zatrzęsienie. Szablon tych audycyj i ich ilość, doszczętnie słuchaczom obmierzły. Zostawiono więc w spokoju lud z jego obrzędami i zwyczajami na dłuższy czas, bo w końcu trudno już było o coś oryginalniejszego. Że jednak przy dobrej woli można jeszcze coś wykrzesać z tych weselnych zwyczajów, dowiódł Stefan Śnieżek, którego audycję p. t.: „Podolskie wesele" nadała rozgłośnia lwowska. Dla wielu słuchaczy wskaźnikiem zachętą do słuchania jakiejś audycji jest „wprowadzenie" do niej. Jeśli to „wprowadzenie" (t. zn. pierwsze płynące z głośnika zdania) jest interesujące, zachęcające, słuchają audycji do końca; a jeśli nie — zamykają głośnik, nie czekając aż się prelegent „rozgada"... A w tem „podolskiem weselu" wstęp był niezmiernie zachęcający i — co ważniejsze — spełnił rozbudzone wśród słuchaczy oczekiwania. Dano nam audycję istotnie bardzo ciekawą, malowniczą, żywą i niebanalną. Słowo wiążące ujęte w formę wspomnień osobistych autora, drużkującego na podolskiem weselisku, stwarzało miłą, swojską atmosferę. Rzewne, melodją i rytmem rozśpiewane piosenki ruskie, świetnie wykonane, dodawały uroku weselnym obrzędom, czasem dziwnym, czasem niezrozumiałym, a zawsze — ciekawym. Audycja ta dzięki swemu odosobnieniu zyskała na wartości: słuchało się jej jako czegoś mile odbijającego od ogólnego tła. Obawiam się tylko, by nie pociągnęła ona za sobą lawiny innych tego typu audycyj z pozostałych rozgłośni.

„Gdyśmy byli studentami" tytuł wesołej, słowno - muzycznej audycji (autorzy: Budzyński, Lipczyński, Wajda) wymaga pewnych objaśnień. Dziś nazywamy studentami, studjujących na wyższych uczelniach. Tak to słowo rozumie cała Polska, wszak nawet rysunek — jaki zamieściły niektóre dzienniki reklamujący tę audycję, przedstawiał maszerujących korporantów. A tymczasem za dawnych „dobrych" przedwojennych czasów na ziemiach w zaborze austrjackim zwanych urzędowo Galicją i Lodomerją z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, uczniów gimnazjalnych, noszących mundurki z kołnierzami ozdobionymi paskami, nazywano studentami. Po tem wyjaśnieniu tytuł audycji staje się zrozumiały. Treść jej poza miłemi uszom, staremi piosenkami, mając silnie zaznaczającą się nutkę wspomnień, nastrojowo usposabiała słuchaczy, szczególnie tych, którzy sami przeszli taki „studencki" okres. A przyznać też muszę, iż audycja opracowana starannie, doskonale zaprodukowana, należała do bardzo udatnych.

Również chyba jako odświeżenie starych — tym razem dziecinnych — wspomnień, potraktować trzeba obrazek słuchowiskowy dla dzieci p. t.: „Kuba chciwiec". Bajkę tę znamy wszyscy i wszyscy z podziwem wsłuchiwaliśmy się w przygody chciwca, któremu groch zmieniał się w perły, kartofle w djamenty, a jaja w złoto. Więc nawet i starsi chętnie zasiedli przy głośnikach, by raz jeszcze cofnąć się w czasie wstecz i przeżyć powtórnie: naiwne, dziecięce wzruszenia. Nie było to trudnem, bo naturalna gra artystów świetnie dopomagała do wywołania pożądanych wrażeń.

Temat ostatniej audycji „Wesołej Syreny" został „żywcem ściągnięty" z jednej z Wesołych Fal. U Budzyńskiego nazywało się to „Procesem o piosenkę", a u Hemara „Sądem dostatecznym". Tylko o ile nieskomplikowany był „Proces", o tyle trudno się było zorjentować w przesłankach, na jakich oparty był „Sąd". Hemar w tej audycji „potępił w czambuł" wszystkich autorów tekstów lekkich „modnych" piosenek. Końcowa zaś ich obrona i udowadnianie, że ich „towar" jest dostosowany do mało wybrednego smaku publiczności, przypominała wybijanie okna, gdy drzwi są otwarte...

Zresztą nie tak dawno temu, również pod egidą Syreny, opowiadał Hemar słuchaczom jak powstała jedna z jego licznych, kabaretowych „modnych" piosenek. Więc chyba nie osądzał tak surowo sam siebie w parę tygodni później.

Przed własnym posągiem palone kadzidła — jeśli ten ceremonjał jest celebrowany w studjo — mają zbyt specyficzny zapach.

IRENA NAŁĘCZ.

11 listopada w radjo

Bardzo oryginalną audycję przygotowuje Polskie Radjo na dzień 11 listopada, celem uczczenia rocznicy powstania Państwa Polskiego.

Audycja, zatytułowana **„Raport pracy"** zobrazować ma wszystko, co Polska zdziałała w ciągu siedmnastu lat od chwili odzyskania niepodległości, w szerym znoju i codziennej pracy. Do „Raportu" staną kolejno wszystkie rozgłośnie P. R., z Warszawą na czele. A odbierać je będzie Kraków, to serce Polski, w którem zapisały się najwspanialsze karty naszej historji.

Oczywiście i Lwów, kawaler Orderu „Virtuti Militari" będzie miał niejedno do powiedzenia.

Szczególnie jednak miłym dla nas jest fakt, że organizację tej zbiorowej, wspaniałej audycji powierzyła Dyrekcja Polskiego skiego Radja lwowianinowi, znanemu oddawna w całej Polsce twórcy „Wesołej Fali" i doskonałemu reżserowi radjowemu p. W. Budzyńskiemu. Na jego barkach spoczywa cały ciężar opracowania odpowiednich scenarjuszy dla ośmiu rozgłośni, on też czuwać będzie nad wykonaniem całości.

Nie wątpimy, że p. Budzyński wywiąże się i tym razem znakomicie ze swego odpowiedzialnego, a zaszczytnego zadania. Toteż Lwów specjalnie oczekuje z zainteresowaniem zapowiedzianej audycji.

Komunikaty radjowe

Rozmaitości teatralne. Red. Kazimierz Bukowski wygłosi przed mikrofonem rozgłośni lwowskiej dziś o godz. 12.03 prelekcję pt. „Rozmaitości teatralne".

„Noc tyciączna i druga" — C. K. Norwida. Wśród dramatycznych dzieł Norwida radjofonja znalazła ostatnio kilka utworów, nadających się do realizacji mikrofonowej. Po „Pierścieniu wielkiej damy", wykonanym wiosną br., obeonie Wilno ukaże fragment słuchowiskowy „Nocy tysiącznej i drugiej" w opracowaniu młodego badacza dzieł Norwida dr. Wł Arcimowicza. Audycja ta nadana będzie dziś o godz. 13.00.

„Audycja myśliwska" w radjo. Dzień 3 listopada, to wielkie święto Patrona myśliwych św. Huberta. Legenda o nim i historja jego kultu w Polsce, datuje się z dawien dawna. O legendzie tej opowie przed mikrofonem lwowskim dziś o godz. 22.00 prof. Rudolf Wacek, poczem chór z udziałem orkiestry 40 pp. oraz soliści wykonają szereg pieśni myśliwskich.

„Wesoła Fala" Wesoła fala wystąpi dziś, w niedzielę o godz. 21.00 z rewją której program składać się będzie z wesołych skeczów i szeregu aktualności. W rewji, wezmą udział Szczepko i Tońko, Pan Strońć i inni wesołofalowcy. Tytuł Fali „Jesień panie de facto".